Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 51

Najpiękniejsza z kaplic północnej Europy

Na mocy starodawnego zwyczaju w czasie adwentu, codziennie przed świtaniem, śpiewa się w Polsce Mszę św., zwaną roratami, od pierwszego słowa intoitu „Rorate coeli..." Istnieją jednak kościoły, a częściej kaplice, które cieszą się przywilejem odprawiania roratów przez cały rok. Należy do nich między innemi najpiękniejsza kaplica na północ od Alp, a mianowicie kaplica Zygmuntowska, katedry na Wawelu, zwana inaczej kaplicą Rorantystów. Z dawien dawna widok jej w zachwyt wprawia oglądających. Ks. Wojciech Waśniowski pisze o niej w r. 1645:

Zygmunt pierwszy Król polski.
czci Bogarodzice
Stróż pilny, pod imieniem tej
Panny kaplicę
Taką w zamku królewskim w
głębsze podał lata
Że ją zaliczyć możemy w siedmią cudów świata.

Znany miłośnik Krakowa Ambroży Grabowski, uważa kaplicę Zygmuntowską za najwspanialszą i najkosztowniejszą w całej Polsce, tak wspaniałą, że szczycićby się nią mogły Włochy.

Tę wspaniałą kaplicę, którą jeszcze inny autor nazywa „cudem pomysłowości epoki odrodzenia", „najpiękniejszem dziełem renesansu z tej strony Alp" polecił wznieść około r. 1515, zaraz po śmierci swej ukochanej żony Barbary Zapolskiej, Zygmunt I. Plany wykonał mistrz z Florencji Bartłomiej Berecci, który zadomowił się zresztą w stolicy Jagiellonów. Tutaj ożenił się i zyskał tytuł Bartolomeus Italus Lapicida Reg. Mai., Archifactor Regius. Ten to wielki sądząc po wspaniałem dziele, artysta, przedstawił znającemu się zresztą na sztuce, królowi plany kaplicy, która stanąć miała w południowej nawie katedry, na miejscu starej, gotyckiej, ufundowanej jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, pod wezwaniem Wniebowzięcia N. P. Marji.

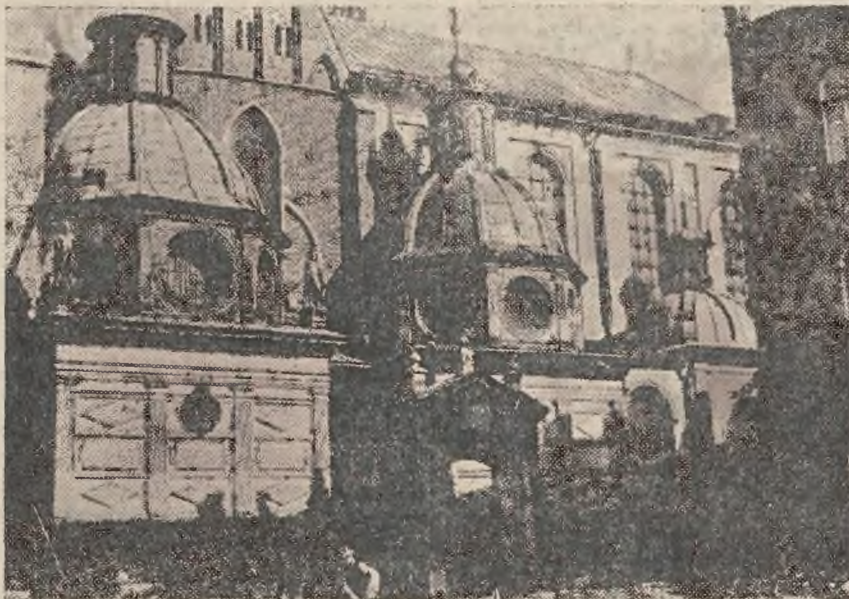
Budowę kaplicy rozpoczęto w r. 1520. Misterna praca nad wykończeniem tego renesansowego cacka trwała lat dziesiątki. Wprawdzie uroczystego poświęcenia jej dokonał biskup krakowski Piotr Tomicki w obecności króla i królowej Bony już w r. 1530, ale jeszcze następcy Zygmunta I Zygmunt August i Anna Jagiellonka uzupełniali dzieło ojca. Oczywiście nie wszystko jest dziełem Bartolomea. W budowie i ozdobieniu pomagali mu inni mistrze włoscy.

Przejdźmy jednak do opisu wnętrza. W trzech ścianach kwadratowej kaplicy znajdują się półkoliste wnęki. W jednej z nich, a mianowicie w ścianie wschodniej, pomieszczono ołtarz z tryptykiem wykonanym wedle rysunku Jana Dürera. Przedstawia on sceny z życia Najświętszej Panny i Jej Syna. Tryptyk ustawiony został w r. 1538, jeszcze za życia króla. Widzimy w nim płaskorzeźby kute ze srebra, gdzieniegdzie złocone. Zewnętrzną stronę skrzydeł tryptyku pokrywają malowidła szkoły norymberskiej.

Wnękę południową kaplicy wypełnia tron królewski z czerwonego marmuru, z wstawionym w przedniej jego części pomnikiem Anny Jagiellonki. Dzieło to dłuta Santi Guci, podobnie jak i znajdujący się w sąsiedniej wnęce zachodniej pomnik Zygmunta Augusta. Pomieszczona wyżej w tej samej wnęce co pomnik ostatniego Jagiellona, rzeźba Zygmunta Starego wyszła z pod dłuta Jana Marji Padovano. Oba pomniki ojca i syna wykonane zostały z czerwonego marmuru węgierskiego. Oprócz ołtarza tronu i monumentów Zygmuntów, wnętrze kaplicy zdobią posągi św. św. Zygmunta, Jana Chrzciciela, Piotra i Pawła, Wacława i Florjana, oraz umieszczone ponad nimi medaljony Salomona i Dawida, a dalej św. św. Łukasza, Jana Ewangelisty, Marka i Mateusza. Posągi te i medaljony przypisują znawcy szkole Minello de Bardi z Padwy i Janowi Marji Padovano, za wyjątkiem dwóch, a to św. Wacława i św. Florjana, które są dziełem nieznanego, podrzędniejszego zresztą, artysty.

Dwa z pośród medaljonów są portretami współczesnych. Popiersie Salomona wyobraża Zygmunta Starego. Dawid zaś, to znany w owych czasach potentat finansowy Jan Boner.

Z pięknego ołtarza, wspaniałych posągów i medaljonów spływa spojrzenie przybysza na ściany, na których podziwiać można bogatą, a jednak subtelną ornamentykę, — dzieło jednego z największych rzeźbiarzy dekoracyjnych owych czasów Jana Cini z Sieny. Kute są te ornamenty w kamieniu i tworzą plecionkę, w której odbijają się wspomnienia wypadków współczesnych, ciekawych zresztą i ważnych. A więc obok syren i delfinów widzimy Indjanina z koroną z piór na głowie, jako symbol odkrycia Ameryki, przypadającego na te czasy i t. d.



Kaplica Zygmuntowska z kopułą.



Wnętrze kaplicy. Po stronie lewej pomnik Anny Jagiellonki po prawej Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta.

I jeszcze jedno spojrzenie, tym razem w górę, ku nakrywającej kaplicę kopule, która spoczywa na ośmiokątnej podstawie, oddzielonej od ścian kaplicy gzymsem. Ta ośmiokątna podstawa kopuły, poprzerywana jest okrągłemi otworami okien, przez które wsączają się do kaplicy strugi rozproszonego światła, potęgując wrażenie. Wnętrze kopuły podzielone jest na 80 kasetonów, z których każdy ozdobiono piękną rozetą. Ile pracy poświęcił artysta ozdobieniu kopuły, nie trudno sobie uprzytomnić, skoro każda rozeta różni się od swej sąsiadki, a wśród 80 nie ma dwóch identycznych Kopuła zakończona jest latarnią.

Kaplica Zygmuntowska oddzielona została od południowej nawy katedry piękną renesansową kratą, dziełem krakowianina mistrza Serwacego z r. 1527, wykonaną w bronzie. Ponad wejściem do kaplicy, umieszczono pochodzące z czasów ówczesnych portrety Zygmunta Starego, Anny Jagiellonki i królowej Bony.

I zewnętrzny wygląd kaplicy wyróżnia ją z pośród 20 innych kaplic katedry wawelskiej. Dach pokrywający kaplicę Zygmuntowską, imitujący łuskę rybią, wykonany z blaszek miedzianych, bogato złoconych, błyszczy w promieniach słońca, jak błyszczała królewska korona fundatorów kaplicy ostatnich Jagiellonów. Złoty dach kaplicy Zygmuntowskiej jest fundacją Anny Jagiellonki, która poświęciła na ten cel kilka tysięcy złotych dukatów. Piękne są oprawy okien, ozdobione rozetami, oraz znajdujący się na ścianie zewnętrznej orzeł Jagiellonów.

Ponieważ kamień piaskowy, z którego zbudowano kaplicę i wykonano rzeźby, uległ, zwłaszcza ze strony zewnętrznej z biegiem lat zwietrzeniu, przystąpiono z końcem ub. stulecia do jej odnowienia, do którego przyłożył również ręki mistrz Matejko. Zwietrzałe fragmenty rzeźb zastąpiono identycznemi, wykonanemi w bardzo trwałym piaskowcu z Szydłowca.

Dzisiaj kaplica Zygmuntowska, zwana inaczej kaplicą Rorantystów, oglądana przez tysiączne rzesze turystów polskich i zagranicznych, chlubnie świadczy o dawnej kulturze podwawelskiego grodu. Jest ona jednym z najwspanialszych dowodów przynależności Polski do łacińskiej kultury Europy zachodniej.

ak.

Ormianie na ziemi pokuckiej

Gdziekolwiek w Polsce osiedlili się Ormianie, mieli zawsze możność i pełnię swobody rozwoju. To też cały szereg gmin ormiańskich, jakie w ubiegłych wiekach istniały na ziemiach polskich, pozostawiło do dziś dnia ślady swej azjatyckiej kultury. Gminy Ormiańskie jakie w ub. wiekach istniały w Kamieńcu, Lwowie Zamościu, Stanisławowie i innych miastach Rzeczypospolitej, stanowiły odrębne środowisko, różniące się od otoczenia nietylko innym językiem, religją i obyczajami, ale też swą wschodnią kulturą czerpiącą odżywcze soki z ojczyzny za pośrednictwem lewantyńskich karawan i eczmiadzyńskich pielgrzymek. Ten pietyzm i umiłowanie swych wschodnich obyczajów, sprawiały, że wszędzie tam gdzie istniała gmina ormiańska, życie kształtowało się wedle form narzuconych przez Ormian, którzy potrafili wywrzeć wpływ nietylko na sfery mieszczańskie, ale też i na szlacheckie.

To też do dnia dzisiejszego zachowały się ślady kultury ormiańskiej w różnych miastach Polski będące tematem badań historyków i znawców kultury i sztuki. Niestety, naukowych rozpraw o Ormianach, oraz o wpływie ich kultury na kulturę polską, mamy niewiele. Wśród nich jednak znajduje się większa praca o Ormianach osiadłych na Pokuciu (w szczególności w Stanisławowie), znakomitego historyka dr. Czesława Chowańca, pt. „Ormianie w Stanisławowie w XVII i XVIII wieku". Praca ta należąca bezsprzecznie do ciekawych i poważniejszych prac naukowych tego rodzaju została w ograniczonej ilości, bo zaledwie 400 egzem-

piarzach. wydana w 1928 roku, z okazji III. zjazdu Bibljofilów Polskich we Lwowie — i stanowi jedyną dokładną monografię o Ormianach na Pokuciu.

Opierając się na wzmiankowanej monografji, postaram się w krótkości przedstawić pewne charakterystyczne szczegóły z życia pierwszych pionierów kultury gospodarczej i duchowej na Pokuciu.

* * *

Ziemia pokucka, jakkolwiek leżąca na szlaku dróg handlowych łączących ujścia Dunaju ze Lwowem, przez długie lata — bo aż do połowy XVII w., była skrzętnie omijana przez karawany kupieckie, jak i osadnictwo, ponieważ była to kraina dzika, pełna bezkresnych lasów i gór, kraina dająca schronienie bandom opryszków, oraz będąca terenem ciągłych wojen. Stąd też na Pokuciu Ormianie osiedlili się najpóźniej, bo dopiero w czasie założenia twierdzy Stanisławowa w 1662 r., przez Jędrzeja Potockiego. Wprawdzie niespełna czterdzieści lat przedtem, w małej ilości osied'lili się Ormianie w Śniatynie, ale osadnictwo ich na większą skalę, datuje się dopiero od czasów założenia Stanisławowa. Sprowadzenie Ormian z Mołdawji, było niewątpliwie zasługą Jędrzeja Potockiego starosty halickiego, który rozpoczął na Pokuciu pracę gospodarczo - osadnicze na wielką zakrojone miarę. Pozatem do osiedlenia się Ormian w Stanisławowie, w wielkiej mierze przyczyniły się królewskie przywileje, jakiemi cieszyło się nowopowstałe miasto - twierdza; jak zwolnienie od podatków na 20 lat, udogodnienia samorządowe, handlowe itp.

Osiedlenie się Ormian w Stanisławowie, wprowadziło do miasta przykład ładu i porządku wśród mieszczan, którzy składali się z różnych narodowości, a ich współżycie pełne było wzajemnych antagonizmów. Pan i dziedzic miasta, — Jędrzej Potocki, wydzielił Ormianom wschodnią część (od rynku) twierdzy, a nawet zbudował im drewniany kościółek.

W czasie tym toczyła się gorąca walka w kościele ormiańskim, podlegającym eczmiadzyńskiemu katolikosowi o Unję z Rzymem, w której to walce Potocki stanął po stronie zwolenników Unji, i za pośrednictwem O.O. Teatynów ze Lwowa, przyjął w roku 1665 na proboszcza ormiańskiego księdza perskiego Józefa zwanego Wschodnim, również zwolennika Unji. Jednak Ormianie stanisławowscy stanęli twardo na gruncie dawnych swych zwyczajów religijnych (podobnie jak w innych miastach Polski), tak że ksiądz Józef zrażony opuścił parafję ormiańską. Dopiero w rok później, dzięki proboszczowi łacińskiemu Białaczewskiemu, udało się zjednać Ormian stanisławowskich dla Unji, tak, że przybyły pod koniec 1666 roku ks. Grzegorz Balsamowicz, proboszcz ormiański, dokonał reszty. W ten sposób został załagodzony spór jaki siłą rzeczy wynikł pomiędzy Potockim a Ormianami, przez co Potocki nie stracił kolonji ormiańskiej, która w nowopowstałem mieście dużo znaczyła — Ormianie zaś nie stracili doskonałego rynku handlowego, jakiem było miasto o pełnych przywilejach i w dodatku leżące na szlaku handlowym prowadzącym z północy do Konstantynopola, z południa zaś do Lwowa i w głąb kraju.

Ten zatarg religijny wskazuje w pierwszych latach osiedlenia się Ormian w Stanisławowie, na ich istnienie na Pokuciu. Dopiero po upadku Kamieńca, w czasie wojny Polski z Portą Ottomańską w latach 1672—1676. wielka ilość Ormian z tamtejszej gminy, emigruje do Stanisławowa i tu się osiedla, nadając miastu ton i wywierając przemożny wpływ na życie mieszczaństwa, oraz — co zaliczyć należy za wielką zasługę — wykupuje z rąk żydowskich nieruchomości.

Jak wielki wpływ na współczesne życie Stanisława wywarli Ormianie, świadczy specjalny przywilej dla nich, wydany przez Jędrzeja Potockiego w 1677 roku, a nadający Ormianom pełne prawa sądowe, handlowe itd. — jednem słowem: autonomję. Dzięki temu przywilejowi gmina ormiańska usamodzielniła się zupełnie. W tym samym roku, został przywilej ten zatwierdzony przez króla Jana III., co w znacznej mierze umocniło samodzielne istnienie Ormian, którzy też samodzielność tę zachowali aż pod koniec XVIII wieku.

* * *

O życiu i samorządzie stanisławowskich Ormian zachowały się liczne wzmianki i opisy w aktach sądowych z czasów ówczesnych. Te sterty pożółkłych kart zawierające szczegóły z życia „synów św. Grzegorza", stanowią dziś nieoceniony materjał do badań historycznych ich samorządu itp. Z aktów tych dowiadujemy się, że imieniem Gminy Ormiańskiej, występowała wobec władz miejskich rada złożona z 40 mężów, zwanych „karsunach parami", którzy pozatem w łonie własnej gminy byli wykonawcami władzy finansowej. Rada Karsunachparamów, która początkowo powstała prawdopodobnie samorzutnie, z czasem uzupełniała swój skład drogą kooptacji. Pozatem co roku odbywały się wybory dwóch naczelników rady, którzy wchodzili w skład samorządu miejskiego jako delegaci finansowi tzw. „lunarzy".

Na czele gminy stała rada złożona z 12 rajców i wójta, będącego zarazem najwyższym sędzią. Rada ta prócz władzy sędziowskiej była najwyższą władzą administracyjną gminy. Wójta obierano corocznie, przyczem zdarzało się, że tem sam człowiek — cieszący się poważaniem gminy — wybierany był na wójta kilkakrotnie. Sam wybór odbywał się nadzwyczaj uroczyście. Po nabożeństwie dokonywano głosowania w ratuszu (we własnej sali sądowej) ten kandydat zastawał wójtem, który otrzymał największą ilość kresek. Po wyborze, który musiał jeszcze być zatwierdzony przez radnych i magistrat, wójt składał przysięgę.

Stanisławowska gmina ormiańska była początkowo zwolniona od wszystkich opłat handlowych i ceł, to też nie dziw, że Ormianie starali się o obywatelstwo „pokuckie", (ówczas Stanisławów był jedyną domeną Pokucia), które uzyskać mogli za poręką dwóch obywateli miasta, lub całej rady Karsunachparów.

* * *

Życie w gminie ormieńskiej pulsowało bardzo mocno. Obok patrjachalnych i możnych rodów kupieckich Bogdanowiczów, Amirowiczów, Theodorowiczów, Wartanowiczów i Sołtanów skupiały się rzesze drobnych kupców i rzemieślników ormiańskich. Stanisławów, dzięki Ormianom nabrał wielkiego znaczenia handlowego, stał się niejako bazą handlu ormiańskiego dochodzącego poza ujścia Dunaju Śląsk, Koronę i Gdańsk.

Charakterystycznym jest opis Stanisławowa przez podróżnika francuskiego D'Aleyrac'a, z roku 1684 który między in. tak pisze: „Największem i najpiękniejszem ze wszystkich miast na Pokuciu jest Stanisławów. położony wśród pięknej równiny o 2 mile od Dniestru a obwarowany dużą fortyfikacją usypaną w sposób nowoczesny. Posiada on okazały pałac zbudowany pięknie i ozdobnie z kamienia. Rynek, domy, mieszkańcy i arsenał celują nad wszystkiemi innemi miastami Rusi Czerwonej. Ludność Stanisławowa składa się z Ormian i Wołochów (Ormianie z Mołdawji) bardzo bogatych. Wnosząc ze stroju mężczyzn i kobiet, jak również z częstych jarmarków, które co do bogactwa i rozmaitości towarów nie ustępują jarmarkom Lwowa i Warszawy możnaby nazwać Stanisławów sercem królestwa, lubo okolica jego jest zupełnie zniszczona". (D'Aleyrac: „Les Anecdodes de Pologne". Amterdam 1699).

Czasy wojen króla szwedzkiego Karola XII z Augustem II i carem Piotrem, ujemnie odbiły się na Stanisławowie, który został kilkakrotnie obrabowany przez okupacje wojsk saskich i inwazje wojsk moskiewskich. Kontrybucje wojenne i zwykły rabunek, wyniszczyły zupełnie ludność miasta, oraz gminę Ormiańską, która mimo tego, nadal ponosiła przyjęte na siebie ciężary podatkowe.

W pierwszych latach XVIII wieku, przypada najświetniejszy okres rozwoju Stanisławowa pod względem gospodarczym, a z nim potentatów kupiectwa ormiańskiego, które niepodzielnie opanowuje życie gospodarcze Pokucia i Czerwonej Rusi. Ormianie mając na uwadze szersze sprawy handlowe, przez co przyczynili się do rozwoju Pokucia, zaniedbali swych spraw wewnętrznych w mieście, co oczywiście wykorzystali żydzi i opanowali miejski teren do tego stopnia, że Ormianie musieli zwrócić się z „supliką" do dziedzica, w której m. in. czytamy: „... obciążenia i dolegliwości od synagogi żydowskiej licznie rozmnożonych, że przez swoją biegłość wszelakiego rodzaju handle jakie się mogą znaleźć i szynki pod siebie podgarnęli, tak, że chrześcijanie nie mogąc nież sposobu do ratowania się i do pomnożenia fortuny, tudzież do zarobków rzemieślniczych cechowych, w niwecz się obrócili, tak, że muszą jedni domostwa swoje żydom arendować, drudzy prawie opuszczać, nie mogąc skąd żyć i reparacji prowidować".

Józef Potocki wysłuchawszy prośby Ormian, delegował specjalną komisję, która zbadawszy dokładnie stan rzeczy, przyznała pretensjom Ormian pełną słuszność. W wyniku badań komisji, wydał Potocki szereg przepisów broniących drobne kupiectwo i rzemiosło ormiańskie, oraz zakazał żydom kupować od chrześcijan nieruchomości bez zezwolenia dziedzica, zabronił im prowadzić szynków w domach odnajmywanych i dzierżawionych od Ormian. Pozatem wydał specjalne zlecenia dla szewców i kuśnierzy żydowskich, którzy niezorganizowani w cechach (jak Ormianie), przez niezdrową konkurencję podważali byt rzemiosła ormiańskiego, niemal doprowadzając go do kompletnej ruiny. Zarządzenia te nie potrafiły jednak podnieść z powrotem drobnego mieszczaństwa (kupiectwa i rzemiosła) ormiańskiego zachwianego krecią robotą żydów, do pierwotnego stanu rozwoju, ponieważ czasy wojen tureckon - rosyjskiej (1736—1739) i sukcesyjnej polskiej, a zwłaszcza napad kozacki na Pokucie, wyniszczyły zupełnie tę połać kraju Rzeczypospolitej.

* * *

Druga połowa XVIII wieku, zaznacza się upadkiem gminy ormiańskiej w Stanisławowie, upadkiem datującym się od chwili śmierci Stanisława Potockiego, a więc od roku 1760. Następne lata — pełne chaosu politycznego w Rzplitej również przyczyniły się do upadku drobnego mieszczaństwa ormiańskiego (i polskiego) w czem największą jednak rolę odegrała silna ekspansja żydów, niszczących — podobnie jak przedtem — niezdrową i pozbawioną wszelkich zasad etyki konkurencją drobne kupiectwo i rzemiosło. Nie pomogły nawet reasumowane w 1769 roku przez Jana Potockiego dokrety z lat 1716 i 1736, bowiem drobne kupiectwo i rzemiosło było już kompletnie rozbite i opanowane przez żydów. Wskutek zmienionej ogólnej sytuacji politycznej, oraz odcięcia przez wojska tureckie Mołdawji, tem samem pozbawienia kupiectwa ormiańskiego kontaktu handlowego z nią bogaci kupcy ormiańscy nawiązują stosunki handlowe z Węgrami, gdzie widzą dla siebie lepszą konjunkturę handlową, oraz masowo przenoszą się na Węgry. Z możnej i bogatej gminy ormiańskiej w Stanisławowie, która wzbudziła życie gospodarcze i kulturalne na Pokuciu, która prawie przez cały wiek nadawała temu życiu rozmach i pęd, pozostała jedynie niedobitki.

Dziś — prócz pożółkłych i wyblakłych aktów sądowych obrazujących historję Ormian na tej ziemi, zachowały się w Stanisławowie żywe pomniki kultury ormiańskiej w postaci nielicznych białych dworków, pochylonych wiekiem ku ziemi. W barokowych murach kościoła ormiańskiego, w pięknie zdobionych ornatach, w barwnym ewangeljarum księdza Krzysztofa Zachnowicza — proboszcza ormiańskiego w Stanisławowie pod koniec XVII wieku — zostały zaklęte dzieje Ormian stanisławowskich — dzieje, które ożyły na kartach monografji dr Czesława Chowańca.

Tadeusz Kwaśniewski.

William Hogarth

(27.III.1698 - 28.X.1764)

Stosiedmdziesiąta rocznica śmierci Hogartha przypomniała nam postać tego wielkiego artysty, niedocenianego należycie przez współczesnych, a będącego prawdziwym unikatem w historji sztuki angielskiej.

Przez szereg lat — na podstawie licznych jego sztychów — uważano go jedynie za złośliwego satyryka, który w swoich minjaturkach przedstawiał we wklęsłem zwierciadle życie współczesnej Anglji, atakując ze szczególną pasją panoszące się wówczas: rozrzutność, lekkomyślność, obłudę i przekupstwo.

Miano mu nawet za złe, że swojemi cyklami miedziorytów obniżał prestiż imperjum brytyjskiego, znajdującego się właśnie w stadjum potężnego rozwoju i ekspansji politycznej.

Dopiero pierwsza zbiorowa wystawa jego dzieł w roku 1862 odsłoniła prawdziwe oblicze artysty, pociągając za sobą gruntowną rewizję dotychczasowych sądów i poglądów na jego działalność artystyczną.



W. Hogarth: Autoportret.

Odtąd odróżniać trzeba Hogartha — rytownika od Hogartha — malarza. Pod tym kątem widzenia patrzeć musimy na całą jego twórczość.

* * *

A twórczość to bogata i wszechstronna. Młody Hogarth, syn skromnego nauczyciela, wstępuje na naukę do złotnika. Pracuje sumiennie, siedząc przy warsztacie i kreśląc rylcem herby i ornamenty. W wolnych chwilach włóczy się po ulicach Londynu, chłonąc ciekawym wzrokiem różnobarwne życie wielkiego miasta.

Jako 22-letni młodzieniec otwiera własny sklep miedziorytniczy. Robi wszystko, co mu każą: herby tabliczki firmowe, karty tytułowe, ilustracje.

Równocześnie jednak uczy się malarstwa, do którego czuje nieprzeparty pociąg. Może sobie na to pozwolić, bo przedsiębiorstwo idzie dobrze. Naukę

pobiera u słynnego malarza nadwornego, sir Jamesa Thornhilla.

Pierwsza próba na tem polu przynosi mu też pierwsze bolesne upokorzenie: wymalowaną dużą fantastyczną kompozycję „Element ziemi“ odsyłają mu spowrotem, — bo przecież nie jest on malarzem, lecz rytownikiem!



W. Hogarth: Portret Garricka z jego żoną

Ale Hogarth nie zniechęca się. Spod pendzla jego wychodzi cały szereg obrazów i portretów. Cóż, kiedy nie umie schlebiać, nie umie kłamać, — maluje to, co naprawdę widzi. Portretuje jakiegoś starego lorda z fotograficzną wiernością, nie upiększając ani trochę jego obrzydliwej fizjognomji. Zamówiony portret odsyłają mu spowrotem.

„Jeśli wasza lordowska mość, — pisze Hogarth, — portretu swego nie odbierze do trzech dni, domaluję na nim ogon i inne potrzebne akcesorja i poślę go właścicielowi menażerji, który wywiesi go na ścianie swej budy“.

Lord zapłacił umówioną cenę, zabrał portret i spalił go natychmiast.

* * *

Rozżalony temi niepowodzeniami przerzuca się Hogarth do innego działu sztuki. Tworzy swe słynne cykle obyczajowe, miniaturowe miedzioryty, uwieczniając na nich znane na bruku londyńskim postacie.

Pracuje dla chleba, schlebiając gustom i upodobaniom publiczności. Zdobywa ją szturmem, cykle jego są rozchwytywane. Wyszydza w nich w sposób bezwzględny wszystkie wady i słabostki ludzkie, tworząc znakomite obrazki obyczajowe, pełne ruchu, życia i wyrazu, — czy to będzie „Smak wielkiego świata“; czy „Jarmark w Southwark“, czy „Modne małżeństwo“ lub „Żywot rozrzutnika“.

Nie wyrzeka się jednak malarstwa, dochodząc i na tem polu do szczytów artyzmu: „Dziewczyna z krewetkami“, dwa portrety jego przyjaciela słynnego Dawida Garricka, dwa autoportrety i wreszcie wspaniała „Sigismonda“, — to dzieła; które ugruntowały sławę Hogartha jako jednego z najwybitniejszych malarzy angielskich.

Próbuje też swych sił w malarstwie religijnem, ofiarowując dla szpitala Św. Bartłomieja swe kompozycje „Jezioro Betsaidy“ i „Dobry Samarytanin“. Spod jego też pendzla wyszły trzy wspaniałe obrazy przeznaczone dla kościoła St. Mary — Redcliffe w Bristolu: „Złożenie do grobu“, „Wniebowstąpienie“ i „Trzy Marje“.

* * *

Niemało przykrości sprawiła Hogarthowi wydana przez niego w r. 1753 rozprawa „Analiza piękności“, stanowiąca niejako jego artystyczne „credo“.

W rozprawie tej, operując zresztą dość naiwnemi argumentami, nie wytrzymującemi rzeczowej krytyki, występuje Hogarth jako zdecydowany wróg prostej linji w malarstwie. Prostolinijność jest mu równoznaczną z akademicką nudą i bezdusznością, brakiem smaku i elegancji. Wszystko co żyje, co jest pięknem, wyrażać się powinno kapryśną serpentyną, linjami wężowemi, jak wąż, płomienie...

Dzieło to wywołało liczne komentarze i druzgocącą krytykę. Jest ono jednak interesujące i cenne z tego względu, że pozwala nam poznać Hogartha jako prawdziwego mistrza pendzla, świadomego doskonale swych środków. Uwagi jego na temat harmonji barw i ich należytego doboru są nietylko bardzo ciekawe, ale i nadzwyczaj trafne.

* * *

Dopiero po zapoznaniu się z całą twórczością Hogartha możemy ocenić go należycie i poznać jego prawdziwe oblicze. Ten złośliwy satyryk, za jakiego uważali go współcześni, — ten, zdawałoby się, zakamieniały wróg piękna, — był w rzeczywistości prawdziwym entuzjastą piękna, którego szukał przez całe życie.

Tragedją jego było, że współcześni nie doceniali go jako malarza, traktując tę dziedzinę jego twórczości lekceważąco i pogardliwie.

Niezrozumiany, odepchnięty, zamknął się w sobie, odpowiadając na tę niesprawiedliwość ostrą, złośliwą satyrą.

I trzeba było długich lat, zanim krytycy i historycy sztuki wyznaczyli mu należne miejsce, w pierwszym szeregu mistrzów angielskich, — miejsce, słusznie mu należne. (R.)

Panorama polityczna Indyj dzisiejszych

w perspektywie historycznej

O Indjach wie się u nas naogół niezbyt wiele — poza tem, że leżą w Azji i były doniedawna jeszcze krajem tajemniczym, pełnym cudów i osobliwości, a obfitującym w legendarne niemal bogactwa i że się tam na kamieniu rodzą cudotwórcy w postaci fakirów i „jogów“ (poprawnie: joginów). Ten i ów słyszał nadto cośniecoś o Buddzie i buddyzmie, o Mahabharacie i Ramajanie, poniektóry wie, że święte księgi indyjskie nazywają się Wedami, a klasyczny język staroindyjski sanskrytem (nazwę tę zresztą niektórzy — dla łatwiejszego zapamiętania i powiązania z czemś bardziej znanem — zmieniają sobie bez wielkich skrupułów na „sanskrypt“, co sam słyszałem), że Hindusi wytworzyli nawet jakieś systemy filozoficzne i że Aleksander W. zapuścił się w tamte strony gdzieś jeszcze za króla Ćwioczka, lecz musiał, rad nierad, zawrócić z powodu oporu wojska, że natomiast Anglikom trochę później udało się zawojować ów kraj. Wybrańcom losu wiadomo nadto, że liczba mieszkańców tego kraju, dziesiątkowanych niejednokrotnie przez zarazy głód, drapieżne zwierzęta i jadowite węże, wynosi i tak przeszło jedną szóstą cyfry całej ludzkości; że Indje dostarczają światu herbaty, bawełny, wełny, skóry, juty (tj. konopi krajowych), trzciny cukrowej, korzeni, dalej — choć w mniejszej mierze — kawy, tytoniu, opjum, chininy (której nazwa niema nic wspólnego z Chinami, lecz jest pochodzenia peruwiańskiego), kauczuku, indyga (tak nazwanego od Indyj jeszcze przez Portugalczyków, którzy je pierwsi stamtąd sprowadzili), że nowoczesna teozofja europejska, stworzona przez Bławacką, Besantową i Steinera, zasilała się przedewszystkiem koncepcjami indyjskiemi; że wreszcie w Polsce jest garstka takich mente capti, którzy — o zgrozo! — zawodowo lub też — co chyba jeszcze gorsze — z amatorstwa zajmują się bliżej owym krajem, jego dziejami, literaturą, filozofją, religją, nie mówiąc o zakazanym sanskrycie. Największy może odsetek czytelników spoziera na Indje z odrazą albo (bez obrazy!) z podziwem (a może i wdzięcznością?) jako na ojczyznę Watsjajany, autora sugestywnej Kama sutry. W ostatnich latach wreszcie szersza publiczność miała sposobność posłyszeć też lub poczytać trochę w dziennikach o Gandhim i jego kozie oraz o ruchu niepodległościowym. Jeżeli kto z Czytelników niniejszego artykuliku wie znacznie więcej, niż dotychczas wyliczyłem, sądzę, że może z dumą nos podkreślić (o ile go nosi); na czytelniczki niebardzo liczę (też bez obrazy), choć oczywiście niemałoby mi pochlebiało...

Z dzienników wiedzą też pewnie pilni czytelnicy że ostatnich kilkanaście lat przyniosło dosyć widoczne zmiany w układzie stosunków wewnętrznych Indyj: wzrosło znaczenie i wpływy państw i państewek, leżących poza obrębem terytorjów angielskich. Może zatem nie od rzeczy będzie rozszerzyć trochę i pogłębić te wiadomości o tyle, o ile da się to uskutecznić w szczupłych ramach artykułu, — zwłaszcza że podobno zanosi się na nawiązanie bliższych stosunków z Indjami i prosty interes kupiecki nakazuje wybadać, na czem taki sąsiad siedzi (hony soit...). Nie może bowiem ulegać wątpliwości że całokształtu wzajemnego ustosunkowania się Anglików i Hindusów w przeszłości i w teraźniejszości znane powiedzonko: „Zrazu Anglicy mieli doświadczenie, a Hindusi pieniądze; teraz odwrotnie: Hindusi mają doświadczenie, a Anglicy pieniądze“ nie wyczerpuje.

A teraz już in medias res!

* * *

Państwa i państewka indyjskie, których łączna liczba wynosi 562, zajmują 2/5 obszaru półwyspu, a żyje w nich około 80 miljonów mieszkańców tzn. przeszło 1/5 ludności całych Indyj. Większych państw jest 108; obszar ich wynosi 515.000 ang. mil. kw., ludność zgórą 60 miljonów, a dochody, razem wzięte, przeszło 420 miljonów rupij (tj. dobrze ponad miljard zł.) — z 460 miljonów ogólnego dochodu wszystkich państw indyjskich; władcy wchodzą w skład Izby książąt. 127 dalszych państw z obszarem 77.000 ang. mil kw. i ludnością zwyż 8-miljonową reprezentowanych jest w Izbie książąt przez 12 członków, których sobie same wybierają. Mniejwięcej połowa tych 235 państw należy do kategorji tzw. „salute States“ tj. państw których władców wita się strzałami armatniemi. Pozostałych 327 państewek ma niewielkie znaczenie; są one państwami tylko nominalnie. Oczywiście i wśród owych 127 państw są mało znaczące. Cała skala zaczyna się takiemi terytorjami, jak Hajderabad, Majsur, Baroda czy Trawankor lub Kaszmir, posiadającemi najnowocześniejszą administrację i wielkie dochody, a kończy na takich które obejmują obszar kilkuset ang mil. kw., mają władzę ściśle ograniczoną i są lennikami państw większych, przyczem rząd angielski zobowiązuje się bronić ich przed uciskiem.

Z punktu widzenia historycznego podzielić można państwa indyjskie na: państwa radżputów (tj. jakby szlachty rycerskiej) wraz z Kaszmirem, państwa mahometańskie, państwa Marathów, państwa „sikhów“, państwa południowo indyjskie wraz z Majsur i lenne państwa Oryssy.

Najliczniejsze są państwa radżputów. Zajmują też największy obszar: całą Radżputanę i półwysep Kathjawar (pln. zachód Indyj); do czasu powstania potęgi Marathów mieli radżputowie przewagę także w Indjach środkowych, gdzie i dziś jeszcze pozostało kilka państw radżpuckich (przedewszystkiem Rewa i Orczha). Pozatem znajdujemy państwa radżpuckie na terenie Biharu, Oryssy i Prowincyj Zjednoczonych (tj. Agry i Audh). Od Indusu do zatoki Bengalskiej ciągnie się długi pas półniezależnych państewek radżpuckich. Pół tysiąca lat — od w. VII do w. XII — trwała wojskowa hegemonja radżputów na północy kraju, a ten naprawdę złoty okres Indyj zakończył się z opanowaniem ich przez mahometan. Przeszło sto lat rycerstwo radżpuckie stawiało dzielnie opór najazdom wroga, aż musiało uznać sprawę za przegraną i schronić się do twierdz w Radżputanie, Indjach środkowych i na Kathjawarze. gdzie ostało się do dziś, nie zatraciwszy swego charakteru mimo siedmiu wieków rządów mahometańskich. Za rządów mogołów tj. mongolskich władców (od w. XVI—XVIII) radżputowie odzyskali swe znaczenie: ich zastępy walczyły pod własnymi wodzami na wyżynach afgańskich, z księżniczkami radżpuckiemi żenili się cesarze - mogołowie, a książęta radżpuccy byli rządcami prowincyj. Przez cały w. XVIII toczą radżputowie walkę na śmierć i życie z świeżo powstałą potęgą szczepu Marathów (hinduscy mieszkańcy kraju Maharasztra, ciągnącego się wzdłuż wybrzeża zachodniego aż po portugalską kolonję Goa); w walce tej, która zakończyła się dopiero z opanowaniem Indyj przez Anglików (gdzie dwóch się bije...), radżputowie utracili większą część swych ziem na rzecz Marathów, a wiele ich państw w Indjach środkowych i na Kathjawarze stało się lennem Marathów. W Kaszmirze większość mieszkańców przyjęła mahometanizm, gdy wszedł w skład państwa mogulskiego. Z czasem zawładnęli nim sikhowie, a potem Anglicy i ci sprzedali go jednemu z radżputów, przodkowi dzisiejszego władcy

* * *

Z państw mahometańskich największe znaczenie mają: Hajderabad, Bhopal, Bahawalpur, Dżunagadh, Khairpur i Rampur. Upadek potęgi mogołów stworzył podłoże dla ich powstania: Hajderabad założył w początkach w. XVIII wybitny generał Asaf Dżah; inny generał utworzył państwo Bhopal w tym samym prawie czasie, a podobnie powstały także: Dżunagadh i Rampur. Khairpur i Bahawalpur były pierwotnie lennami państwa kabulskiego (na pln. zachodzie Indyj).

Twórcą państwa Marathów był bohaterski Siwadżi (druga połowa w. XVII), który za cel sobie postawił uwolnienie kraju z pod jarzma mahometan; dzięki stopniowemu upadkowi potęgi mogołów, następcy Siwadżego mogli posiadłości swe jeszcze rozszerzyć. Gdyby Marathowie byli połączyli się z radżputami, mogli byli zadać ostateczny cios państwu mogołów i zniszczyć wszelkie ślady panowania mahometańskiego. Woleli jednakże niszczyć polityczne twory radżputów i wyrąbać sobie w ten sposób wielkie prowincje: Barodę z lennami na Kathjawarze; Gwaljor, Indor i Nagpur w Indjach środkowych. W połowie w. XVIII państwo Marathów obejmowało większą część Indyj środkowych, a stanowiło luźną konfederację dużych prowincyj, uznających zwierzchnictwo centralnej władzy, tzw. peszwy, w Punie (Poona); Hajderabad i dalsze terytorja płaciły haracz. Państwa sikhów (tj. „uczniów“) — pierwotnie sekty religijnej, założonej przez guru (tj. mistrza) Nanaka w w. XV, później (od końca w. XVII) potężnej organizacji politycznej — utworzyli wojskowi naczelnicy tej organizacji. Państwa te to Patiala, Nabha, Dżhind, Kapurthala i in.

Majsur było zrazu (w w. XV) lennem potężnego królestwa widżajanagarskiego (na południu), a z upadkiem tegoż w połowie w. XVI zaczęło się rozrastać. Podobnie rozwijał się Trawankor, założony w początkach w. XVIII przez jednego z przodków dzisiejszej dynastji tam panującej.

Lenne państewka Oryssy zamieszkane są przeważnie przez szczepy tubylcze, a rządzą niemi często radżputowie, częścią zaś rody z domieszką

krwi radżpuckiej. Zrazu hołdowały one władzy mogołów, później Marathów, a od połowy ubiegłego wieku zależą w pewnej mierze od Anglików.

* * *

Gdy w połowie w. XVIII, po uporaniu się z konkurentami francuskimi, Anglicy (dokładniej: Kompanja Wschodnio-indyjska, od której rządy przejęła Korona dopiero w r. 1784 na mocy tzw. Pitt's India Act), opanowali Bengal, Marathowie byli u szczytu potęgi. Trzeba było obwarować się przymierzami odpornemi, zawieranemi na mniejwięcej równych warunkach, ze wszystkich stron: na południu (z Hajderabadem i Trawankorem), na północy (z Audh) i w Indjach środkowych (z Baroda). Dopiero po podbiciu Majsoru (z końcem tegoż wieku) stanęli Anglicy do walki z Marathami. Po dwu krwawych wojnach potęga Marathów legła (w r. 1819) w gruzach. Tymczasem odnowiono przymierza, lecz na innych warunkach: Anglicy ustanowili protektorat wojskowy, umieszczając w każdem z państw znaczne siły pod dowództwem własnych oficerów, nie mieli się jednak mieszać do administracji. Wszelako faktycznie od r. 1818 osadzono na dworach większych państw rezydentów z władzą niemal dyktatorską. Niezadługo też nadarzyła się kilkakrotnie sposobność wmieszania się w wewnętrzne sprawy państw pod pretekstem poprawiania stosunków, zepsutych przez złe rządy i przywracania porządku. Anglicy obejmowali również opiekę nad rządami regencyjnemi w wypadkach małoletności książąt, zaczęli sobie przysądzać państewka w razie wygaśnięcia rodu rządzącego nie pozwalając na adoptację (tak zrobili np. z Satarą, Nagpurem i in.). Oczywiście, że w ten sposób posiadłości angielskie i sfera wpływów stale się powiększały.

W następnem pięćdziesięcioleciu, u którego progu (1858) Korona dotychczasowy system administrowania Indjami — za pośrednictwem tajnego komitetu, podlegającego radzie nadzorczej — zastąpiła bezpośrednim, mianując specjalnego sekretarza stanu dla Indyj w kraju a wicekróla (w miejsce dotychczasowego generał - gubernatora) w Indjach, stosunki między państwami niepodległemi (cum grano salis) a terytoriami brytyjskiemi znów ułożyły się nieco inaczej. Anglicy pobudowali koleje, poczty i telegrafy, zaprowadzili opłaty morskie i podatek od soli, uczynili wiele dla wytępienia zbrodniczych organizacyj w rodzaju thagów (dusicieli) i bandytyzmu („dacoity"). Władcy indyjscy powoli nabierali zaufania do przybyszów zza Oceanu i wielu z nich ofiarowało się ze zbrojną pomocą, gdy pół wieku temu z powodu wypadków nad granicą afgańską zawisła groźba wojny angielsko-rosyjskiej. Późniejszym wicekrólom angielskim udało się podtrzymać i wzmocnić to zaufanie. Pozatem Anglia działała zgodnie z zasadami swej polityki ekspansji na terenie Azji, nakazującej unikać zderzenia z mocarstwami sąsiadującemi (tj. rosyjskiem i chińskiem, oraz z francuskiem imperjum kolonjalnem w Indochinach), a terytorja, położone między owemi mocarstwami i posiadłościami brytyjskiemi zamieniać w sferę wpływów czy protektorat angielski dla wykluczenia stosunków dyplomatycznych z innemi potęgami pod grozą casus belli.

* * *

W czasie wielkiej wojny światowej państwa indyjskie oddały Anglji do dyspozycji swe siły wojskowe i inne zasoby. Anglja musiała uznać prawo Indyj do samorządu i zgodzić się na powstanie Izby książąt, ciała o charakterze rady. Osobne komitety — angielski i indyjski — radziły niezależnie od siebie sześć lat temu nad kwestją rozdziału kompetencyj Korony angielskiej i Izby książąt i mimo pewnej różnicy zdań obu komitetów zdaje się, że problem utworzenia federacji, złożonej z Indyj angielskich i państw indyjskich, można uważać za dojrzały do rozwiązania; większość książąt podobno przyznaje, że bez poparcia rządu angloindyjskiego ich państwa staną w obliczu bardzo poważnych trudności. Z drugiej strony coprawda trzeba też pamiętać o istnieniu ruchu niepodległościowego, kierowanego przez Gandhiego; ale o tem rozpisywać się nie będę, gdyż — jak już wspomniałem — obszernych informacyj dostarczały i dostarczają dzienniki.

* * *

Rzuciwszy okiem na polityczną mapę Indyj, przekonamy się, że i dziś jeszcze można przebyć je od jednego krańca do drugiego — np. od Kaszmiru na północnym zachodzie po Trawankor na dalekiem południu czy też od Indusu po zatokę Bengalską — niemal nie stawiając nogi na terytorjum angielskiem. Na ziemiach, których Anglicy nie zajęli, są jeszcze połacie, tworzące pozycje strategiczne bardzo obronne. Można to powiedzieć np. o przecinającym środek Indyj wpoprzek pasie ziemi, na którym leżą wielkie państwa: Baroda, Indor, Gwaljor, jedyne — poza kilku państewkami w Indjach środkowych i na Dekanie (jak Kolhapur i Satara oraz Tandżor) — resztki dawnej potęgi Marathów. Trzy te państwa środkowo-indyjskie są dobrze zagospodarowane, a gwaljorska armja jest bodaj najpotężniejszą z armij krajowych.

W stosunkach międzynarodowych państwa indyjskie stanowią całość z cesarstwem angloindyjskiem (cesarzem Indyj jest, jak wiadomo, król angielski). Poddani państw indyjskich są poddanymi angielskimi, korzystającymi z opieki angielskiej, gdy znajdą się poza Indjami; podobnie też poddani innych krajów mają prawo do opieki angielskiej w państwach indyjskich i europejczycy, znajdujący się na terytorjum państw indyjskich, podlegają jurysdykcji angielskiej.

Wiele państw indyjskich idzie z postępem czasu, a system ich administracyjny niewiele ustępuje angielskiemu. Naogół jednak właśnie administracja pozostawia sporo do życzenia; niższych urzędników jest zbyt mało. W niektórych państwach — np. w Hajderabadzie, Barodzie, Gwaljorze, Majsurze — administrację sprawuje po większej części rada wykonawcza. W wielu sądownictwo zorganizowane jest na takich samych zasadach jak w Indjach angielskich, a sędziowie Sądu Najwyższego nie są wcale gorsi od angielskich. Oświata poczyniła duże postępy: na ogólną liczbę 18 uniwersytetów na terenie całych Indyj dwa są krajowe, w Hajdera badzie i w Majsurze, Trawankor poszczycić się może najwyższym poziomem wykształcenia (czego nie należy rozumieć jako próby obniżenia wartości dopieroco wymienionych uniwersytetów w dwu innych państwach, a Baroda przeprowadza przymus szkolny. Wiele państw ma wydziały nauki; w wielu są wydziały medyczne, odpowiadające najnowoczniejszym wymaganiom. Bardzo często rząd tego czy owego państwa indyjskiego pożycza sobie poprostu urzędników od rządu aglo-indyjskiego, aby poprawić i udoskonalić różne działy swej administracji. Nie ulega wątpliwości, że książęta indyjscy poczuwają się coraz więcej do obowiązku opieki nad swymi poddanymi; niejeden z nich myśli przedewszystkiem lub wyłącznie o dobru narodu i w wielu państwach mieszkańcy są zupełnie oddani swemu władcy. Jeżeli żadne z państw nie może się pochwalić takim ogromnym ośrodkiem przemysłu i handlu jak Bombaj czy Kalkuta, to jednak naogół nędzy niema i niema rozpaczliwej walki o kęs chleba.

Z malowniczego życia dawnych Indyj przechowało się wiele do dziś w państwach indyjskich; wspomnieć wypada przedewszystkiem o dawnym ceremonjale, pieczołowicie przestrzeganym i o wspaniałych procesjach świątecznych, szczególnie w Majsurze i Barodzie. Wszędzie znaleźć można hojną gościnność i starodawną uprzejmość. Dawne Indje nie umarły w całości, a to, co ocalało, nie ogranicza się do samych tradycyj religijnych i kastowych (jeśli nawet pominiemy ślady przeszłości w postaci ruin). W latach powojennych skutkiem rozbudzenia się poczucia narodowego, nastąpił także wyraźny nawrót do przeszłości; zainteresowano się nią w różnych dziedzinach.

Eugenjusz Słuszkiewicz

Z WYDAWNICTW

„Na kresowej placówce", jednodniówka jubileuszowa Sokoła I. w Stanisławowie wydana z okazji 50-lecia założenia gniazda, przedstawia się niezwykle miło i okazale. Z prawdziwem rozrzewnieniem czyta się te kartki, na których skreślono jest historja tej „kresowej placówki"; co przetrwała burze i nawalnice a dziś stoi mocniejsza niż kiedykolwiek, twardo dzierżąc swój sztandar, promieniując energią, hartem i obywatelskim czynem.

Jednodniówka wydana bardzo starannie, stanowić będzie piękną pamiątkę, a posiada też pewną wartość historyczną.

Dwaj noweliści

Do bardzo niedawna jeszcze nowelistyka była zaniedbanym kopciuszkiem w naszej literaturze. Czytało się lekkie, sensacyjne czy pikantne nowelki we feljetonach pism codziennych, — ot, poprostu dla zabicia czasu lub dla leciutkiego dreszczyka emocji. Ale wydanie całego tomu nowel, — to był krok ryzykowny, na jaki trudno było namówić wydawcę.

Nie kwapili się też i sami autorzy do pisania nowel, licząc się z gustem publiczności, tkwiącej w zaczarowanem kole tasiemcowych „współczesnych", „senzacyjnych" powieści.

Od jakiegoś czasu zaznacza się jednak zmiana na lepsze. Coraz pojawiają się tomy nowel — i, o dziwo, wydawnictwa podobne „idą" doskonale. I pokazuje się, że ta sama czytająca, a raczej **umiejąca czytać krytycznie** publiczność nie ma żadnych zgoła uprzedzeń do tej formy wypowiedzenia się pisarza, — o ile ten pisarz naprawdę ma coś nowego i wartościowego do powiedzenia.

Decyduje tu tylko i wyłącznie prawdziwy talent, talent zupełnie swoisty i przystosowany do tego rodzaju twórczości, może najtrudniejszej w swej formie.

Powtarza się tu ta sama historja, co w każdym innym dziale sztuki: nie każdy, najlepszy nawet rzeźbiarz może być Benvenutem Cellinim, nie każdy malarz, rzucający na metrowe płótna wspaniałe pejzaże czy portrety, potrafi przerzucić się z równem powodzeniem na subtelne miniatury.

Bo nowela, — to miniatura powieści, wymagająca niesłychanie starannego, drobiazgowego wycyzelowania. To skrót, skondenzowanie na kilku czy kilkunastu stronach nietylko takiej czy innej akcji, ale i światopoglądu autora.

Określa to doskonale **Jarosław Janowski** w jednej ze swych nowel, wchodzących w skład świeżo wydanego zbioru pt. **„Dzień jak noc"** (Warszawa, księgarnia F. Hoesicka):

„Ta sama fabuła może być rozmaicie naświetlona, ujęta; to samo zdarzenie może mieć bardzo rozmaity charakter zależnie od woli autora i... od inteligencji czytelnika. Życiowa treść utworu stanowi nieraz grubą kanwę, nic więcej!, na której artysta kształtuje swoje dzieło".

Podobnie, choć z innego punktu widzenia, ujmuje to zagadnienie **Bolesław Eustachiewicz** w swojem **„Kole życia"** (wyd. „Bibljoteka Kresowa" Lwów):

„...w dzisiejszej literaturze nastąpił zanik idealizmu, zanik tych wartości, które zwykle uszlachetniają człowieka, które stępiają ostrze walk wzajemnych, wywołują wzruszenie w najlepszem tego słowa znaczeniu...

...Cechą wielkich wzruszeń, a więc prawdy, są zdarzenia napozór zwykłe. Do nich też musi być zastosowana forma, aby wywołać nie przejściowy stan emocjonalny".

Oto mamy artystyczne „credo" obu pisarzy, którzy debiutują obecnie pierwszemi tomami swych nowel.

I chociaż różnią się oni znacznie w swem nastawieniu psychicznem i doborze tematów, — to jednak na punkcie samej twórczości i jej walorów posiadają dużo cech wspólnych.

A więc: zupełne opanowanie formy doskonała konstrukcja, piękny, bogaty język, znakomita technika i bardzo rozległa skala zainteresowań.

I wreszcie — co najważniejsze — u obu treść utworu stanowi faktycznie tylko szarą kanwę na której artysta haftuje obraz pełen suggestywnej mocy i ekspresji, przetykając go złotą nicią jakiejś głębokiej idei.

Twórczość Eustachiewicza cechuje przedewszystkiem serdeczne umiłowanie człowieka, jego drobnych bólów i trosk codziennych. Z tą bezbrzeżną miłością, co umie wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć pochyla się nad szarym człowiekiem, pokazuje nam wzloty i upadki duszy ludzkiej, zdolnej do wszelkich ofiar i poświęceń.

Eustachiewicz, — to piewca szlachetnego, wzniosłego optymizmu życiowego. Jak to trafnie i słusznie zaznaczył w pięknej przedmowie do jego książki prof. K. Hartleb, — „nie potępia on agresywnie, wprost przeciwnie, wydobywa te dobre, piękne strony człowieczeństwa. Jego odruchy serca, wzloty, myśli, zawsze prowadzą ku wiecznemu dobru, do wartości niezniszczalnych".

Nieraz wzrusza do łez. Oi, taki „pośmieciuch" Andrzej, co ponosi najcięższe ofiary dla swej ukochanej, by w przeddzień utęsknionego szczęścia dowiedzieć się, że wszystkie jego ofiary były daremne... Czy ów górnik Lekston, z nieustępliwą zaciętością obrabiający szmat „swojej" ziemi aż do ostatniego tchu życia, czy nieszczęśliwa „zawitka" Nastka, uosobnienie cierpienia i ofiarności matczynej, czy wreszcie ów mizerny szklarz, kręcący się w nieubłaganem wiecznem „Kole życia"... Postaci żywe, — chwytają poprostu za serce, budzą serdeczne współczucie.

Ale zpoza tej suchej treści prześwieca wszędzie idea, idea piękna, szlachetna, wzniosła. Apoteoza ofiarnej miłości, ukochania ziemi, ciężkiego, odwiecznego ludzkiego trudu.

W sumie — lektura, która krzepi i daje moc szczerych, artystycznych wzruszeń.

Na osobną wzmiankę zasługuje „Kalikant", przepiękny pastelowy obrazek w stylu średniowiecznych płócień. Mam wrażenie, że ten — tak rzadko spotykany dziś rodzaj twórczości najlepiej odpowiadałby talentowi autora. Ciekawe byłyby dalsze próby na tem właśnie polu.

Zainteresowania artystyczne **J. Janowskiego** idą w innym kierunku. To entuzjasta ruchu, życia i przedewszystkiem sportu.

O ten sport zahacza niemal w każdej noweli: samolot, motocykl, samochody, tennis... Treść, nierzadko sensacyjna, jednak daje autorowi sposobność do postawienia i głębokiego ujęcia jakiegoś problemu. A robi to z ową szlachetną prostotą, jaka cechuje każdego prawdziwego artystę.

Utwory takie jak „Odwrócona karta", czy „Łzy Adama Brzeszcza", lub tytułowa nowela „Dzień jak noc", to jedne z najpiękniejszych rzeczy, jakie czytaliśmy w ostatnich latach.

Że autor z równą swobodą daje sobie radę z humorem i satyrą, — o tem świadczą doskonałe nowele „Sensacja w Poleksie" i „Heliodor and Co". Rzeczy pisane lekko, niemal migawkowo, świadczą pozatem o znakomitym talencie obserwacyjnym.

Podkreślić wreszcie trzeba ładną bardzo staranną szatę zewnętrzną obu wydawnictw, stanowiących bezwątpienia piękne i cenne pozycje w najnowszej beletrystyce polskiej.

Kazimierz Rychłowski.

Zboża i ich historja

Nie posiadamy dowodów historycznych albo przyrodniczo - historycznych, na podstawie których możnaby stanowczo stwierdzić, że żyto jest najpierwotniejszą formą i protoplastą zbóż, jak też nie wiemy, w którym kraju szukać ojczyzny zbóż. Wiemy jednak, że tak fauna jak flora, ulegały w ciągu wieków samorzutnej selekcji i wielkim przeobrażeniom, tworząc z najpierwotniejszych form twory uszlachetnione, wyższe i dla człowieka użyteczne.

Żyto jest wśród zbóż rośliną uprawną najbardziej odporną i najmniej wymagającą. Od bardzo dawnych czasów znano żyto jako roślinę uprawną i użytkową, a także dziko rosnącą w zachodniej Azji, w Afganistanie i w Persji. Niektórzy uczeni i archeologowie utrzymują, że w zamierzchłych czasach uprawiano żyto w tych krajach, lecz z czasem zaczęto tam uprawiać pszenicę i jęczmień, a żyto stało się chwastem, zanieczyszczającym pola uprawne. Nie w całej jednak Azji uważa się żyto za dziko rosnącą roślinę, gdyż w krajach górzystych Afganistanu i Buchary uprawia się je dla chleba i tam właściwie szukać należy pierwotnej uprawy i dowodu starożytności żyta.

W dziejach żyta stwierdzamy wielce charakterystyczne zjawisko. Tam, gdzie rolnicy uprawiają żyto masowo w jakiej takiej kulturze, uprawna ta roślina wykazuje małą ilość odmian i ma wiele różnic morfologicznych i botanicznych, dając wszędzie ziarno o jednakich własnościach i jednej wartości. Natomiast tam, gdzie żyto, jako chwast, rośnie dziko i zanieczyszcza pola pszeniczne i jęczmienne, znajdujemy u tej rośliny niebywałe bogactwo form.

W samej Azji zachodniej znaleziono około 20 form dzikiego żyta, o kłosach barwnych, nietylko czerwonych lub żółtych, lecz również buraczkowego koloru, a nawet czarnych. Słoma i kłos dzikiego żyta są kruche ziarno wypada jeszcze przed zupełną dojrzałością, a wiatr i woda roznoszą je szybko w dal. Ziarno to okazuje się nadzwyczaj wytrwałem, odpornem i rozrodczem, kiełkuje bujnie na najgorszych glebach i nie jest nawet wrażliwe na kwasotę roli albo na niepomyślny klimat. To też wszędzie tam, gdzie okres wegetacyjny jest krótki, gdzie gleba jest licha i mało kulturalna, gdzie rolnictwo stoi na niskim poziomie, — spotykamy się z uprawą żyta. Nie trudno też zrozumieć, dlaczego człowiek posuwając się ku północy, przestaje uprawiać inne zboża, a zapoczątkowuje uprawę żyta.

To też z wielkiem prawdopodobieństwem można przypuścić, że już w barDZO zamierzchłych czasach człowiek zapoznał się z uprawą żyta i wogóle z tą pożyteczną rośliną, która wszędzie znalazł, gdziekolwiek zapędziło go koczownicze, pasterskie życie. Odporna ta roślina rosła wówczas tak na południu, jak na północy we wszystkich częściach świata dziko i w wielu formach i z czasem zaczęto ją uprawiać tam, gdzie tylko człowiek poznał smak chleba. Kultura rolnicza i choćby samorzutna, przypadkowa selekcja, jak też dobry klimat i gleba, mogły z czasem przyczynić się w dolinie Nilu i w Mezopotamji do powstania nowych odmian zbóż i na tej podstawie można pochodzenie zbóż sprowadzić do jednego źródła, możliwie do pierwotnej formy żyta, Secale cereale.

* * *

W północnej Afryce i nad morzem śródziemnem znajdujemy bardzo wiele form pszenicy barwnej, dającej nawet ziarno barwy purpurowej z odcieniem fioletowym, różnej postaci kłosy i bardzo długie ości, a różnie zabarwioną słomę. Wszystkie te formy krzyżują się ze sobą bardzo łatwo, tworzą ciągle nowe odmiany i dają ziarno różnej wartości i plenności. W Małej Azji i w Persji znaleziono pszenicę rosnącą dziko, jednoziarnową, znaną w botanice jako Triticum monococcum. O roślinie tej wspomina Arystoteles, że służyła jako pokarm dla zwierząt domowych, a mówią o tem również inni pisarze greccy. Rolnictwo Małej Azji i w Turcji jest jeszcze wielce prymitywne. Istnieje tam dwupolówka, uprawia się tylko pszenicę i jęczmień na przemian z ugorem. Obecnie szuka się dla tamtej okolicy rośliny okopowej, którąby można z korzyścią uprawiać i wprowadzić trójpolówkę. Ten niski stan rolnictwa tych okolic sprawia, że pojawia się tam zboże dziko rosnące, co nie może być jednak dowodem, że nasiona zbóż sprowadzono stamtąd do Europy jako nowość.

* * *

Jęczmień rośnie również dziko tak w Azji jak w Afryce i wykazuje tam wiele różnorodnych form, powstałych z Hordeum spontaneum z tą jednak różnicą, że jęczmień sięga daleko w głąb Azji do Chin, Tybetu i Japonji. W północnej Afryce, zwłaszcza w okolicach górzystych, jęczmień odznacza się szerokiemi łuskami kłoskowemi jest ościsty, słomiasty, zwykle dwurzędowy, bez bocznych kłosków i ma omszoną łuskę kwiatową. Natomiast w Azji jęczmień jest nagoziarnisty, posiada krótkie ości i daje ziarno dojrzewające nierównomierne, zwykle mało płodne.

* * *

Egipcjanie i starożytne ludy Azji nie znały owsa i na tej podstawie powstało twierdzenie, że owies jest rośliną czysto europejską. W ostatnich jednak dziesiątkach lat znaleziono w Afryce na wybrzeżach Morza Śródziemnego owies typu Avena sativa, w bardzo różnych formach, który nazwano Avena sterilis i bysantina. Odmiany te, uprawiane w Afryce, są odporne na rdzę i są bezpłodne, gdy się je skrzyżuje z owsem europejskim. Jedynie afrykański owies, dziko rosnący, tak zwany Ekavena, zbliżony jest do owsa uprawianego w Europie. W Chinach natomiast uprawia się owies zbliżony do europejskiego.

Prof. Wawiłow, badając w 1916 r. formy pszenicy w Persji, zauważył że obok żyta zanieczyszcza ją silnie owies, bardzo różnorodnej formy. We wszystkich krajach spotyka się też obok pszenicy owies, jako chwast i gdzie warunki wzrostu dla pszenicy są gorsze, tam owies bierze górę, jako roślina bardziej wytrwała i odporna. Przeciwnie żyto rywalizuje z owsem pomyślnie.

* * *

Należałoby jeszcze poruszyć pochodzenie trzech roślin uprawnych: prosa, lnu i konopi. De Candolle, biorąc pod uwagę dane historyczne i lingwinistyczne, utrzymuje, że proso pochodzi z Egiptu lub Arabji. Gdy się jednak uwzględni wrażliwość prosa na niskie temperatury jakoteż to, że w Mongolji i Mandżurji znaleziono ponad 60 form botanicznych prosa, z pewnem prawdopodobieństwem można twierdzić, że proso pochodzi ze wschodniej Azji, gdzie rośnie bujnie dziko i w wielkiej ilości. Z tych okolic przyszło do Europy proso, znane w botanice jako Panicum miliaceum, odmiana miotlasta, z charakterystyczną wiechą.

Uprawa zaś lnu, pochodzącego z dzikiego Linum usitatissimum, kwitła w starożytnych czasach w azjatyckich Indjach, w Afganistanie i Turkiestanie, również w Egipcie, Algierze i Tunisie, a potem w Hiszpanji, we Włoszech i w Małej Azji.

Ludy azjatyckie uprawiały len dla produkcji oleju, rzadziej dla włókna i lny tamtejsze odznaczają się bardzo drobnym kwiatem i drobnem nasieniem. W Afryce zaś i nad Morzem Śródziemnem len posiada kwiat większy i daje wielkie nasiona. W Hiszpanji, we Włoszech, w Krainie i Karyntji uprawia się len ozimy, który posiada krótkie łodygi, ale zato większą ilość pędów i rozkrzewia się silnie. Taki len daje więcej ziarna a mniej włókna, aniżeli len uprawiany na północy, o źdźbłach wysokich i dłuższych, bogatych w włókno.

We wschodniej Europie i w Azji znaleziono wiele dzikich form konopi, zanieczyszczających jako chwast pola zbożowe. Formy dzikie rosną nierówno i powolnie, mają nasienie małe i wymagają ziem bogatych w pokarmy i urodzajnych. Południowe formy dochodzą olbrzymiej wysokości, mają duże liście i wielkie nasiona, gdy północne są mniejsze i długo dojrzewają.

Możliwe, że te dzikie formy najważniejszych roślin uprawnych dowodzą, że Azja względnie Afryka dostarczyła Europie nasienia głównych produktów rolnych, zawsze jednak teza ta wymaga dalszych badań.

Dr. J. S.

Dramat o Oskarze Wildzie

Maurycy Rostand napisał sztukę o Oskarze Wildzie. Ma ona być grana po raz pierwszy w Paryżu, w dzień Nowego Roku.

Jak wiadomo, Wilde ściągnął sam na siebie katastrofę swego życia, wnosząc przeciw lordowi Queensberry skargę o oszczerstwo. Proces przyniósł dowód prawdy i zkolei Wilde stanął przed sądem jako oskarżony o niemoralne czyny, ażeby z wielkiego świata londyńskiego powędrować do więzienia, ażeby z subtelnego pięknoducha i olśniewającego Europę arystokraty zmienić się w — numer, traktowany z całą ówczesną surowością.

Po odbyciu kary spędził ostatnie lata życia w Paryżu, biedując, naciągając ludzi na pożyczki, których nie mógł zwrócić, i oddając się pijaństwu. Jednem słowem, więzienie złamało Wilde'a.

A jednak medal ma i odwrotna stronę. Jego wcześniejsza twórczość odznacza się świetnością formy, dowcipem, błyskotliwością, a przecie brak w niej uczucia, natchnienia, szczerości. Są to z talentem uprawiane igraszki umysłowe i wyborne naśladownictwa. Dopiero cierpienie dobyło z piersi Wilde'a akcenty głębsze — w „Balladzie więzienia w Reading" i w „De profundis".

Takie mniej więcej rozważania stały się punktem wyjścia dla Maurycego Rostand'a. W wywiadzie, jakiego udzielił on przedstawicielowi Reutera, zwrócił on uwagę, że Wilde odnalazł prawdziwego siebie samego dopiero przez cierpienie. „Czem byłby Napoleon bez Św. Heleny? Czem byłby Wilde bez więzienia w Reading?.

Tak zrodził się problem: Czy Wilde'a ku tragicznej katastrofie popchnęła wewnętrzna świadomość prawdy, że jedynie przez boleść dojdzie do treści swej duszy, czy też wynikło to ze snobistycznej dbałości o reputację, którą poeta zawsze ostentacyjnie lekceważył?

Rostand nie wyjaśnił, jaką poszedł drogą w owym dramacie, ale można domyślać się, że przychylił się do pierwszego wyjaśnienia, bo przecie gdyby przyjął drugie, nie byłoby konfliktu psychologicznego. A może działają u jego Wilde'a oba motywy — snobizm świadomie i powierzchownie, dążność do pogłębienia własnego życia i twórczości przez cierpienie podświadomie, ale rozstrzygająco. Zobaczymy za parę tygodni.

Wiemy z życiorysu Wilde'a przez Franka Harrisa, że ten wieczorem przed rozprawą przeciw lord. Queensberry radził autorowi „De profundis", aby zamiast popierać swoje oskarżenie wyjechał natychmiast na kontynent, ogłaszając, że wrodzona subtelność nie pozwala mu poddać się wobec tysiąca ciekawych nieznośnym trywialnościom procesu. Świadkiem rozmowy był i Bernard Shaw, który świadczy, że Wilde żądał od Harrisa, aby ten pozwolił się powołać na świadka i zeznał, że uważa „Doriana Gray'a" za książkę moralną.

— Ależ tam nie będą zajmowali się pańską twórczością. Queensberry i Carson (jego adwokat) mają świadków... Nie zdaje pan sobie sprawy z grozy położenia.

Wilde obraził się i ostatecznie odszedł, mówiąc gniewnie, że poznał się na prawdziwej i pozornej przyjaźni.

Ten epizod — zapewne przetworzony w myśl koncepcji Rostand'a — stanowić ma pierwszy akt sztuki. Zdaje się, że Shaw'a w nim nie będzie. Nie wypada wyprowadzać na scenę żyjącego człowieka.

Rzecz dzieje się w separatce w hotelu Savoy. Lord Queensberry szuka Wilde'a i każe mu powiedzieć, że chciałby się z nim zobaczyć. Potem wracają z przedstawienia „Kobiety bez znaczenia" Wilde i Harris, który napróżno usiłuje namówić poetę, aby nie prowadził przeciw lordowi sprawy o oszczerstwo.

Akt drugi dzieje się w sądzie. Rostand oparł się wprost na protokole procesu. W pierwszej scenie Carson zadaje Wilde'owi pytania. W drugiej przedstawiony jest dramatyczny moment, w której Carson zapowiada dowód prawdy i wylicza świadków, których powołuje. Adwokat Wilde'a Sir Edward Clarke okazuje niepokój — wiadomo, że podjął się sprawy pod warunkiem, że poeta powie mu całą prawdę, a gdy okazało się, że tak nie jest, złożył zastępstwo — i to był punkt przełomowy w procesie i całem życiu Wilde'a. Scena trzecia przynosi wyrok.

Ostatni akt pokazuje Wilde'a, piszącego w więzieniu „De profundis".

W. T.

Na najwyższy szczyt świata!

Cały szereg wypraw na Mount Everest nie doprowadził dotychczas do zdobycia największego wzniesienia na kuli ziemskiej. Trudności są rzeczywiście olbrzymie. Everest wznosi się na granicy Tybetu Nepalu, a więc pośród krajów wyżynnych, słabo zamieszkałych i dzikich. Ekspedycje skazane są na własne zapasy, a do ataku na szczyt przystępują po długim marszu. Sam Everest ma wysokość 8840 m. (28995 stóp, na które liczą Anglicy). Wiadomo, że organizm ludzki nie znosi zbyt łatwo rozszerzonego powietrza i zmniejszonego ciśnienia, właściwego znacznym wysokościom. Jak stwierdza Hugh Routledge, kierownik sławnej wyprawy ostatniej angielskiej i autor książki na jej temat, powyżej 23000 wszelka przyjemność wspinania się ustaje, najdrobniejszy ruch staje się uciążliwym, człowiek popada w depresję, jakby był ciężko chory, obojętnieje na niebezpieczeństwo i doznaje pokusy odpoczęcia — na chwilę lub na zawsze. Trzeba strasznej siły woli, aby nie poddać się i kroczyć ku wytkniętemu celowi.

Najstraszniejszą zapewne jednak przeszkodą w jego osiągnięciu stanowią warunki atmosferyczne i one to sprawiły, że najwyższego szczytu na świecie nie tknęła dotychczas ludzka stopa. Co pewien czas zrywają się wiatry, o jakich na mniejszych wysokościach nie mamy wyobrażenia. Niosą ze sobą tumany zlodowaciałego śniegu. Oto opis Routledge'a:

Na chwilkę wcześniej panował dookoła spokój i cisza. W paru sekundach natura zdawało się, dostała ataku szału. Widnokrąg zniknął z oczu, wichura zerwała się z głośnym jękiem, a śnieg zaczął wirować wokoło nas w oślepiających olbrzymich płatach. Można sobie wyobrazić, jak to podziałało na wycieńczonych trudem ludzi. Nie czuli koło siebie świata okulary pokrył lód i trzeba je było odrzucić, a brwi zamarzły, czyniąc prawie niemożliwem widzenie czegoś choćby na odległość kroku. Była to dosłownie walka o życie.

Rzecz działa się na wysokości 27.000 stóp. Jak wiadomo, każda z wypraw i ta



Trudne przejście

z roku bieżącego opierała się na systemie obozów, zapewniających zapas żywności, środków lekarskich i t.p. W wymienionej wysokości założono najwyższy z tych punktów oparcia i odesłano do poprzedniego tragarzy. Z trzech Anglików, biorących udział w wyprawie, jeden musiał poświęcić się i kierować tym odwrotem, zrzekając się tym sposobem nadziei zdobycia szczytu. Podjął się



Mont Everest (zdjęcie ze samolotu)

tego Longwood, z Routledgem został tylko Wyn Harris. Obaj byli wybrańcami z pośród setek alpinistów, którzy zgłosili się do wyprawy. I Routledge umiał rzeczywiście wybrać. Jego towarzysze wykazali zadziwiającą wytrzymałość i technikę.

Droga wiodła przez olbrzymie grzbiety, gdy wdarto się na tzw. Grzbiet Północny, trzeba było zejść w dół, tracąc z takim trudem osiągnięte wzniesienie. Wyn Harris postanowił to sobie ułatwić i zjechać po śniegu. Lecz wnet spostrzegł, że popełnił błąd, który może być ostatnim w jego życiu.

W sekundzie poczuł, że ześlizguje się nie ku przełęczy północnej ale gwałtownie i ruchem jednostajnie przyśpieszonym ku olbrzymiej przepaści ponad lodowcem Wschodniego Rongbuku. Na szczęście długie lata chodzenia po górach bez przewodnika wyćwiczyły go w każdym najmniejszym z ruchów, potrzebnym do tej niebezpiecznej gry. — Przewrócił się twarzą do zbocza ujmując silnie z obu stron rękojeść czekana rękami, mocno przyciśniętemi do piersi Powoli odwracał ostrze do stwardniałego śniegu aż zaczęło ono ryć głęboką bróżdę i osłabiać tempo spadania. Gdyby to był zrobił zbyt szybko, czekan byłby wyrwał mu się z ręki i katastrofa byłaby nieuchronna. Powiedział mi później, że choć szło tu naprawdę o sekundy, miał wrażenie że upływają minuty Pamiętał, że w miarę, jak ostrze czekana wbijało się w śnieg pokazało się jakby białe pierze, wyrzucane w górę z tworzącej się rysy. To systematyczne hamowanie zatrzymało go w sam czas, nad samym brzegiem urwiska.

O owych towarzyszach mówi Routledge:

Tu nie szło o jeden akt odwagi, przy którym krew kipi w żyłach lecz o powolny, wytrwały, przewlekły atak na straszliwą górską warownię. Byłem z nich bardzo dumny.

Nie mniej chwalebnie zachowywali się tragarze z góralskiego plemienia Szerpa — Tybetańczycy patrzyli ironicznie na przedsięwzięcie, które wydawało się im bezcelowem i warjackiem. Ale ludzie, których Anglicy wybrali sobie do pomocy, odznaczali się taką samą zawziętością, jak oni. Na wysokości 17 tysięcy stóp jeden z tragarzy, który do ostatniej chwili pełnił służbę i nie skarżył się na żadne dolegliwości, upadł nagle. Pokazało się, że ma obustronne zapalenie płuc. Routledge miał go za straconego, a ponieważ góral oświadczył, że pójdzie na dół, zgodził się na to. Uważał, że wszystko jedno, czy zostawi go w obozie bez opieki lekarskiej, czy pozwoli mu próbować dojścia do siedzib ludzkich. W miesiąc później, tragarz, zdrów zupełnie, zgłosił się w najniższym obozie, prosząc, aby go napowrót przyjąć do służby..

Szczytu nie zdobyto. Jedyną zapłatą za straszliwe trudy były wspaniałe widoki. Jeden z nich opisuje Routledge, jak następuje:

Nagle znaleźliśmy się w obliczu stromo wznoszącego się północno-wschodniego ramienia góry, sześciu tysięcy stóp usypiska spękanych głazów i zasypanego przez lawiny żlebu a ponad tem wszystkiem na prawo wznosił się zasypany skałami stożek, od którego powiewała długa chorągiew chmur i śniegu ponad Nepalem. To wierzchołek

Routledge może być dumny, że choć celu swego nie osiągnął, był bardzo blisko zwycięstwa, a odwrotu dokonał szczęśliwie, nie tracąc ani jednego człowieka. Już po jego próbie próbowała zdobycia Everestu ekspedycja niemiecka. Wszyscy trzej jej uczestnicy — zginęli.

A. E.

Lotnik z krótkim wzrokiem

Ukazała się biografja majora Edwarda Mannocka, który dzięki z Albertem Ballem sławę najznakom. bryt. lotnika wojny światowej. Autorem jest porucznik Ira James, który w r. 1918 służył w eskadrze, mającej Mannocka za komendanta. Miał więc sposobność poznać go jako lotnika, żołnierza i przełożonego, a te informacje uzupełnił sumiennemi badaniami nad dzieciństwem i młodością swego bohatera. Ta część życia Mannocka jest również bardzo interesująca.

Miał on we krwi zamiłowanie do żołnierki i do przygód. Ojciec był podoficerem, ale doprowadził tylko do stopnia kaprala, a wysłużywszy swoje lata, pewnego dnia zniknął z domu. Żądza włóczęgi pociągnęła go w szeroki świat i rodzina już go nie ujrzała. Syn musiał wziąć się do pracy w wieku, kiedy inni chodzą jeszcze do szkoły powszechnej.

Został chłopcem do posyłek u kupca korzennego w Canterbury. Pracował 10 godzin dziennie i brał za to 2 i pół szylinga na tydzień. Praca była ciężka, więc Edward Mannock skorzystał ze sposobności i przerzucił się do fryzjerstwa. Tu już lżej mu było i więcej zarabiał, ale nie czuł się zadowolony. Brat jego pracował w spółce telefonicznej i po jakimś czasie znalazło się tam miejsce także dla Edwarda, niestety w biurze, gdy on marzył o tem, aby pracować jako mechanik. Po jakimś czasie uczyniono zadość jego życzeniu. Spełniając swoje obowiązki w Wellinborough, zaczął zajmować się polityką i został sekretarzem Labour Party. Lecz nie umiał długo usiedzieć na miejscu. Chciał poznać obce kraje i wybić się na wyższe stanowisko. Uważał, że obowiązkiem każdego jest osiągnąć w świecie tyle, ile jest zdolny. „Tylko trzeba być zdecydowanym i próbować".

W tej myśli podziękował za miejsce i pojechał do Konstantynopola, gdzie zgłosił się do angielskiej spółki telefonicznej. Podobał się dyrektorowi i został przyjęty. Ale było to w styczniu 1914 r... Po wypowiedzeniu wojny przez Turcję uwięziono Mannocka jako brytyjskiego poddanego. Stwierdzono jednak, że ma krótki wzrok i pozwolono mu odjechać do ojczyzny.

Wstąpił naprzód do oddziału sanitarnego, stamtąd dostał się do pionierów, ale od początku myślał o lotnictwie. Jak jednak poradzić sobie z badaniem lekarskiem? Mannock zgłosił się i potrafił oszukać roztargnionego doktora. Czytał na odległość jednem okiem, a próba trwała zbyt krótko, aby mogła wykazać wadę drugiego, do której się nie przyznał.

Wyszkolenie trwało długo. Dopiero w kwietniu 1917 Mannock wziął udział w wojnie. Do stycznia 1918 r. zestrzelił 20 aeroplanów niemieckich. Spędził potem trzy miesiące w Anglji. W tym czasie poznał go autor życiorysu. „Jego wysoka, chuda postać", mówi, „jego ogorzała twarz jego głęboko osadzone, celtyckie niebieskie oczy, jego niesforne, ciemnokasztanowate włosy, jego skromny strój i obejście żywo przemówiły do mnie i wnet, jak wszyscy inni uczniowie szkoły lotniczej, dostałem się pod jego urok".

Wysłany ponownie do Francji z 74 eskadrą, Mannock odznaczał się raz po raz. Liczba jego zwycięstw rosła. W przeciwieństwie do szaleńczo odważnego Alberta Balla, Mannock był odważny na zimno. Nikogo nie narażał bez potrzeby i spokojnie obliczał szanse. Przełożeni poznali w nim urodzonego wodza i w lipcu zamianowano go dowódcą 85 eskadry. Zaledwie kilka dni życia miał jeszcze przed sobą. 25 tegoż miesiąca zginął — nie z rąk lotnika, lecz od ognia karabinów maszynowych z ziemi. Wedle oficjalnych źródeł zestrzelił ogółem 73 aeroplanów niemieckich. A. E.

Walka z żółtą febrą

Wnioskując z wyniku najnowszych badań i doświadczeń, przeprowadzonych w Afryce przez doktora Laigret z Instytut Pasteura w Tunisie, — można się spodziewać, że już wkótce zniknie ta straszna plaga ludzkości, dziesiątkujaca zwłaszcza białych ludzi w krajach podzwrotnikowych.

Dr. Laigret wyprodukował specjalną surowicę przeciw tej chorobie, zupełnie immunizującą zaszczepionego.

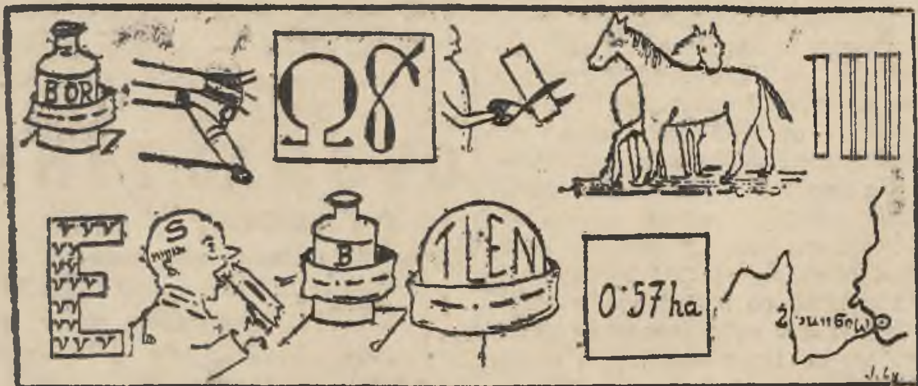
Pierwsze próby z nowa szczepionka przeprowadził na samym sobie, poddając się następnie ukłuciom komarów, roznosicieli żółtej febry.

Wobec pomyślnego wyniku tej próby zaszczepiono już dotąd ponad trzy tysiące osób, przeważnie białych.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Rebus

(ułożył „John Ly")



Proszę odczytać 6 wyrazów rozpoczynających się od liter: w, k n j; w; o.

* * *

Szaradka

(uł. Stan. Krzy-cka)

Nie tajno pewnie jest nikómu,
że **raz-raz, trzy** nadaje w domu.
Tata to tylko cień **raz-drugi**,
rózkazy spełnia i posługi.
I tak od wieków jest już tylu,
gdy jeszcze czczono **Dwa** z nad Nilu.
Całość? Od Greków niech się dowie,
kto ciekaw; „Kusy" też nam powie;
Niech wreszcie Ujejskiego spyta.
Dość rzekłam; punktum — pauza —
kwita!

* * *

Łamigłówka podatkowa

(ułożyła Fr. Goldowa Lwów)

a, e, n, p; t; t (4)
d; g; o; o; r; w y (4)
k, o, r, s; w; y y; y; z (4)
e; l; m; o; p; r; s; w y, y, z (4)
a, a, j, k m; o; t; w; y (6)
c; c; e; i i, h, m, n; o; o; r; ś u (5)
a, i, k, k l; o; o; r; s; t (5)
c; d; d; h; o; o; o; w y (2)
a, a, e, i; k; k; l; r; s; w (7)

Litery w poszczególnych rzędach należy tak przestawiać, by powstały nazwy dziewięciu różnego rodzaju podatków.

Cyfry w nawiasach wskazują, które litery należy wyjąć z odnośnego słowa by otrzymać końcowe — uzupełniające rozwiązanie.

* * *

Zagadka lawinowa

(ułożył „Eugene")

Zaczynając od jednej litery, proszę dodawać po jednej głosce tak aby (przy stosownem liter przedstawieniu) powstawały wyrazy o następujących znaczeniach:

1) samogłoska, 2) miara, 3) ziele, 4) rakieta, 5) naczynie 6) puklerz, 7) pocisk.

* * *

Zagadki

(ułożył „Tom")

Litera i naczynie:
Z rewolucyj częstych słynie.

* * *

„Przylądek" (z obca), część twarzy
na kuchni często się waży.

* * *

Miara, dywanik:
sprawczyni rzezi i panik.

* * *

Litera, zaimek wiersz:
budzi w ludziach zgrozy dreszcz.

* * *

Nuta, bożek i zaimek:
da ci wielkich władców imię.

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań **czwartek, 27 grudnia br.**

Nagrodą do rozlosowania — interesująca powieść z ostatnich nowości.

* * *

Rozwiązanie zadań z nr. 332

Wirówka-logogryf: Kontuzja, upadłość, Łoziński pokutnik, imieniny, modlitwa, parametr, bajadera, Zima.

Szarada: Jakie niebo taka pogoda.

Arytmograf trójkowy: Grudzień.

Szarada: Cześć przemiłym szaradzistkom!

Rabusik: Pokolenie nieuków.

* * *

ROZWIĄZANIA NADESŁALI.

ze Lwowa pp. Arja, Wład. G., Ir-ka, Sigma Fr. Goldowa; Hel. Kowalska, J. Kwiczoł, Eug. Dworski, Kazim. Dworski, M. Zygmuntowicz Wanda Wolańska, inż. J. W., Stan. Krzywobłocka, M. Angielczykówska, Z. Kiernicka Jćz. Koberwein, Wanda Smolicka, M. Ruxerówna.

z Warszawy: pp. B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski; M. Sławnicki, Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, Henryk Silczyński.

z prowincji pp. Marja Potocka (Sanoczek), Tad. Dworski (Sanok) I. Wilkowa (Rzeszów), M. Alexandrowicz (Delatyn), Cz. Murczyński (Kraków) M. Kański (Kraków), M. Lityńska (Przemyśl), Kaz. Jurkiewicz (Śniatyń), „Tom" (Rzeszów), Hel. Mokrzycka (Drohobycz).

Nagrodę uzyskała **p. M. Zygmuntowicz we Lwowie.** Książka jest do podjęcia w naszym Kantorze.

Z za kulis filmu

— Nakręcanie zdjęć do monumentalnego filmu francuskiego „Golgota" (o którym pisaliśmy w swoim czasie) rozpoczęło się temi dniami w pobliżu Ain-Toia, w Afryce północnej.

— Marlena Dietrich, po ostatnich swych sukcesach w „Imperatorowej" nie spoczywa na laurach. W najbliższym czasie rozpocznie nakręcanie nowego filmu „Caprice espagnol", według powieści Johna dos Passos, w reżyserji Sternberga.

— Dorota Wieck, po powrocie z Ameryki, przystąpiła w Berlinie do realizacji filmu „Sonata księżycowa", na tle życia Beethovena.

— Wielką popularnością cieszy się obecnie na obu kontynentach znakomita artystka angielska — Binnie Barness, — która dała poznać się publiczności polskiej świetnie odegraną rolą królowej Anny Boleyn w filmie p. t. „Prywatne życie Henryka VIII".

Binnie Barness podpisała z wytwórnią „Universal" dłuższy kontrakt, w ramach którego ukończyła swój pierwszy film p. t. „Przyjdzie czas..." Artystka ta odznaczająca się niepowszednią urocą i wielkim talentem, jest obecnie przedmiotem zainteresowania całego świata kinomanów.

— W końcowem stadjum znajdują się prace realizacyjne filmu p. t. „Mała czarodziejka", wg. powieści Franka Molnara. Popisowe role odtwarzają w tym filmie: Margaret Sullavan oraz Herbert Marshall (partner Normy Shearer) i Frank Morgan

Ze świata książki

„Juljan Klaczko, życie i prace"

Dziwne koleje losu wyprowadziły jednego z najprzedniejszych pisarzy Polski XIX-go stulecia, jakim był niezaprzeczenie Juljan Klaczko, z środowiska zupełnie obcego duchowi i kulturze polskiej. Wybitny pisarz, piszący świetnie po polsku, francusku i niemiecku, odgrywał niepoślednią rolę nietylko w historji i krytyce literackiej, ale również i w polityce. — Pierwszy swój utwór drukował Klaczko mając lat trzynaście: były to poezje, które początkowo pisał, lecz później ich poniechał. Wybitny współpracownik „Revue des deux mondes", oraz autor studjum o „Dwóch kanclerzach" dziś znany nam jest przedewszystkiem jako twórca „Wieczorów florenckich". Ostatnie lata swego życia spędził w Krakowie, gdzie był członkiem Akademji Umiejętności, w serdecznej pozostając zażyłości z hr. St. Tarnowskim. Juljan Klaczko zmarł licząc lat 81, jako gorący patrjota i katolik.

Piękną książkę o tym wybitnym człowieku wydał ostatnio **Ferdynand Hoesick, w nakładzie Trzaski, Everta i Michalskiego S. A. w Warszawie.** Wprawdzie tom nie jest jednolity w całości — jest raczej zbiorem szkiców o Klaczce — niemniej jednak stanowi organiczną całość, którą czyta się z niesłabnącem zaciekawieniem. Jako dodatek **„Juljan Klaczko"** zawiera djalog Hoesicka o Beatrix Cenci, tragedji Słowackiego. Opracowany bardzo pięknie, jest niejako ilustracją wpływu, jaki wywarły „Wieczory florenckie" na twórczość innych pisarzy. Co do zewnętrznego wyglądu książki, to podkreślić należy bardzo staranne opracowanie graficzne, które jest zasługą firmy wydawniczej.

T. Milewski i J. Meissner: „Przez ergi i hammedy Sahary". (Wyd. Książnica — Atlas, Lwów). Nazwisko J. Meeissnera znane jest już dobrze dzięki jego doskonałym powieściom i nowelom lotniczym. Tym razem do spółki z drugim lotnikiem, T. Milewskim, daje nam barwną opowieść o ich wspólnej „wycieczce" z Warszawy do... Sahary. Niebylejaka to była wycieczka: niemal bez pieniędzy bez przewodników, bez znajomości terenu i stosunków.

Jeździli okrętem, autobusami, kolejkami wąskotorówemi na grzbiecie wielbłądów. Zaglądali wszędzie, A że umieli patrzeć i obserwować, więc mają co opowiadać.

Ten ich pamiętnik podróży czyta się jak interesującą powieść. A ma on jeszcze i tę zaletę, że zawiera dużo dygresyj historyczno - etnograficznych z których dowiaduje się czytelnik dużo rzeczy nowych, prawie zupełnie nam nieznanych.

Książkę zdobi kilkanaście ciekawych ilustracyj.

Ilina Kwiecinska: „Nowe przygody" (wyd. Bibljoteka książek różowych, Warszawa). W sposób prosty i miły opowiada autorka przygody gromadki dzieciaków, spędzających wakacje na wsi, gdzie zakładają stowarzyszenie „Kryzysowych rycerzy". Bo i te beztroskie dzieci zaczynają już rozumieć takie groźne wyrażenia jak kryzys i sekwestrator, — i starają się drogą dobrowolnych wyrzeczeń i drobnych ofiar przyjść z pomocą starszym.

Miła, krzepiąca lektura dla dzieci młodszych.

„Świat i życie". Zeszyt grudniowy tej oryginalnie pomyślanej encyklopedji, zamyka równocześnie II tom tego wydawnictwa. Znajdujemy w nim jak zawsze szereg ciekawych, starannie i fachowo opracowanych artykułów ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej.

A więc o katolicyzmie pisze pięknie ks. prof. Kozubski, o rzymskiem Koloseum J. Parandowski. Zagadnienie klasycyzmu naświetlają wszechstronnie tacy dwaj wybitni znawcy jak prof. Sinko i prof. Tatarkiewicz.

Z zakresu przyrody i techniki wymienić trzeba artykuły o kauczuku, katalizie, klimacie i kolejach, oraz tak aktualne i interesujące zagadnienie, jak, kino.

Wspomnieć też musimy o artykule prof. Łempickiego „Komedja" oraz o bardzo ciekawym artykule „Kolonje"; poruszającym tak żywotny dziś temat.

Ilustracje jak zawsze ładne, starannie dobrane i czysto wykonane.

Charles Vildrac — „Decouvertes" Zeszyt IV Bibljoteki Francuskiej. Nakład Książnica - Atlas, Lwów — Warszawa)

Głęboki znawca dusz ludzkich Ch. Vildrac, maluje w swoich „Decouvertes" Paryż dnia powszedniego, odsłaniając prawdziwe oblicze duchowe szarego człowieka pracy. Opowiadania Vildrac'a cechuje wdzięk, subtelny humor i optymizm.

Stanowią one wdzięczną lekturę dla uczniów klas wyższych, oraz dla tych wszystkich, którzy interesują się literaturą XX. w.

Należy podkreślić, że lektura „Decouvertes" może przynieść również duże korzyści praktyczne, gdyż daje sposobność poznania języka którym mówi dzisiejsza Francja.

Dr. K. Zagajewski i dr. W. Gottlieb: „Der kaufmännische Schriftverkehr" Książnica — Atlas, Lwów — Warszawa.) Nowy ten podręcznik niemieckiej korespondencji handlowej różni się zasadniczo od dotychczasowych wydawnictw z tej dziedziny. Po pierwsze, tematy listów są wzięte z rzeczywistego obrotu handlowego Polski z Niemcami i innemi krajami, posługującemi się w korespondencji z nami językiem niemieckim. Podręcznik wprowadza zatem ucznia bezpośrednio w praktykę aktualną i daje mu, zarazem elementarne wiadomości o niektórych towarach, stanowiących ważne artykuły przywozu i wywozu, oraz o zwyczajach i urządzeniach przy tem stosowanych. Po drugie, wzory listów odpowiadają pod względem formy i stylu nowoczesnym normom niemieckim, odbiegającym bardzo od tego, co jeszcze niedawno było ogólnie przyjęte.

Książka zawiera około 50 wzorów i 100 zadań osnutych na tle około 30 transakcyj. Przeznaczona jest przedewszystkiem dla szkół handlowych, lecz i korespondenci praktycy znajdą w niej wiele pożytecznego materjału.

—o—

List z Madrytu

Nie będę pisała o okropnościach rewolucji i represjach, zresztą stosowanych oględnie, jakie po niej nastąpiły. Polała się obficie krew, lecz życie szybko przechodzi obok trupów i zgliszcz dymiących. Zajmijmy się tedy mniej strasznemi rzeczami.

STARY MADRYT DOGORYWA

Madryt szybko zmienia wygląd, upodabniając się do innych stolic, zatracając swe swoiste oblicze i nabierając kosmopolitycznego wyglądu. Coraz mniej charakterystycznych kawiarń o brudnych podłogach, o kanapkach, krytych wypełzłym czerwonym pluszem, kawiarń, w których przy każdej grupie gości stał kelner, oczekując rozkazów, a sławni toreadorzy ocierali się o wybitnych literatów. Jedną z tych, które zachowały się jeszcze, jest Café de Pombo. Jeszcze gromadzi się tam towarzystwo intelektualistów ze znanym pisarzem Ramonem Gomezem de la Serna na czele. Niedługo to jednak będzie trwało. Na kawiarnię zapadł już wyrok śmierci. Kamienicę zburzą, a na jej miejscu mają zbudować ogromne kino. S i c t r a n s i t g l o r i a m u n d i...

Natomiast coraz więcej nowych lokali, nacechowanych amerykańskim przepychem. W listopadzie otwarto taką kawiarnię, zapędzającą w kozi róg wszystko, co dotąd posiadała stolica Hiszpanji. Od frontu ściąga ona wzrok wpuszczonemi w ścianę basenami, w których pluskają się złote rybki. W środku całe ogrody wspaniałych kwiatów, a różnokolorowe lampy umożliwiają zalewanie lokalu potokami światła raz takiej, raz innej barwy. Gość może czasem pomylić się i myśleć, że jest... w Berlinie. To nie kawiarnia, to s u p e r - k a w i a r n i a.

Pojawiło się w ostatnich czasach również dużo herbaciarni, zwanych S a l o n d e T é. Chodzi się tam tańczyć i lokale te ściągają przeważnie młodzież płci obojga. Mają przeważnie bardzo dobre orkiestry.

Separatyzm hiszpański, objawiający się zupełną obojętnością na to, co dzieje się poza granicami kraju, należy do przeszłości. Ludzie zaczynają coraz bardziej interesować się szerokim światem. Nie wszyscy jednak chcą czytać gazety i stąd stały się modnemi specjalne kina, stawiające przed oczyma widzów wypadki z całego świata. Madryt ma już sześć takich kinoteatrów.

Wogóle rzeczpospolita wpłynęła ogromnie na tryb życia i obyczaje. Dopiero teraz zaczęło społeczeństwo kroczyć szybkiemi krokami ku równości. Możnaby to porównać ze stosunkami, jakie we Francji stworzyła wielka rewolucja. Dopiero teraz zaczyna życie nadawać ton klasa średnia.

Daje to się odczuć przedewszystkiem w stolicy, gdzie ogromnie wzrosła ilość urzędów. Trzeba też dodać, że za monarchji płace urzędnicze były dość niskie, obecnie zaś zostały znacznie podwyższone.

NOWE NAZWY ULIC

Po wypędzeniu króla Alfonsa opanował był Hiszpanję formalny szał nazywania ulic i placów inaczej, niż nazywały się dotychczas. Socjaliści, którzy przeważnie opanowali rady gminne, widzieli w tem skuteczny środek propagandy. Każda miejscowość musiała mieć ulicę Galana i Hernandeza, nie szanowano najszanowniejszych wspomnień. Zresztą zdarzały się i nieporozumienia.

W pewnem miasteczku była ulica Marjany Pineda, wolnomyślnej kobiety, która nawet przypieczętowała krwią swe przekonania, gdyż rozstrzelano ją za Ferdynanda VII. Nowa rada municypalna przechrzciła ulicę. Gdy to doszło do wiadomości rządu centralnego, zwrócono gorliwym nowatorom uwagę i zażądano od nich podania motywów. Z miasteczka odpowiedziano pismem, że zmiana stanowiła tylko jeden z punktów ogólnego planu, jaki powzięto. Polegał on na tem, aby „nie zostawić nic z rzeczy, zrobionych przez dawniejsze rady gminne".

Po stłumieniu ostatniej rewolucji nastąpiło otrzeźwienie i minister spraw wewnętrznych wydał okólnik, zabraniający takiego masowego zmieniania nazw ulic, a zezwalający na nie tylko w wyjątkowych wypadkach, szczególnie godnych uwzględnienia.

KRÓL ANDORRY

Szeroki świat niewiele wie zapewne o monarchicznym zamachu stanu, jaki zaszedł tego lata w minjaturowej republice Andorze, położonej na granicy Francji i Hiszpanji i podlegającej wspólnej zwierzchności obu tych państw. Bohaterem tego epizodu był przedsiębiorczy oficer rosyjski, Borys Skoryzew. Wiadomo, że potrzeba jest matką wynalazków. Biała emigracja rosyjska walczy, jak może z trudnemi warunkami życia. Książęta i jenerałowie zmieniają się w szoferów i kelnerów. Skoryzew wybrał sobie piękniejszy zawód, chciał zostać monarchą i tym sposobem stanął pomiędzy takiemi postaciami, jak słynny w połowie XVIII wieku Teodor, król Korsyki (baron v. Neuhof) i Lebaudy, król Sahary.

Monarchję w Andorze szybko zlikwidowano, a Borysowi zabroniono pobytu na ziemi hiszpańskiej. Nie zastosował się do tego zarządzenia i zorganizował nową próbę zamachu. Wówczas C a r c e l M o d e l l o koło parku Moncloa. Stanął przed trybunałem, który najwidoczniej nie miał za grosz humoru, poważnie słuchał bardzo mętnych wywodów oskarżonego na temat jego praw do tronu Andorry, a potem skazał go na roczny pobyt w obozie koncentracyjnym. Zanim jednak Borysa Skoryzewa wysłano do Alcala de Henares, zgłosił on odwołanie, a sąd apelacyjny okazał się łagodniejszym, potwierdził jednak decyzję władz administracyjnych, wydalającą go z Hiszpanji.

Po czterech miesiącach wyszedł biedny monarcha z więzienia — w niebieskiej bluzie robotniczej i z monoklem w oku i pod huraganowym ogniem aparatów fotograficznych powędrował na kolej. Jego straż przyboczną stanowił jeden jedyny ajent policyjny.

ODKRYCIE NIEZNANEJ SZTUKI LOPE DE VEGI

W świecie naukowym zrobiło duże wrażenie odkrycie przez pewną studentkę w madryckiem muzeum Cerralbo rękopisu komedji Lope de Vegi L a T i e n d a d e l o s G e s t o c (sklep z maskami). O istnieniu tej sztuki wiedziano, ale uważano ją za bezpowrotnie zaginioną. Nie była zresztą nigdy grana, prawdopodobnie ze względu na aluzje do różnych wybitnych osobistości współczesnych, gdyż owe maski, sprzedawane podczas karnawału, mają rysy rzeczywistych ludzi, współczesnych autorowi. Ta satyryczna treść komedji wywołała już szereg komentarzy i nawet polemikę.

Warto przy sposobności przypomnieć, że Lope de Vega, największy po Calderonie dramaturg hiszpański (żył 1562—1635) odznaczał się niezmierną płodnością. Na trzy lata przed skonem podał liczbę swych komedyj na półtora tysiąca — ale nie liczył tu utworów z zakresu innego rodzaju, tz. a u t o s. Jeden z jego młodszych przyjaciół podał liczbę jego dramatów na 2.200 — a Lope pisał również poematy, nowele i t. p.

I. K.

Niedyskretny mikrofon

Radjo bawi i uczy. — Audycja św. — Mikołajowa. — Uśmiech Lwowa. — Dobra opinja obowiązuje!

Obecnie w życiu kulturalnem szerszego ogółu — trzy rozrywki odgrywają największą rolę; są to: teatr, kino i — radjo. Jednakowoż ogólne zubożenie coraz bardziej uniemożliwia średniozamożnej inteligencji bywanie w teatrze, czy na koncercie, a nawet — do pewnego stopnia — i w kinie. Ale jak teatr i koncert dodatnio wpływają **na samokształcenie widzów**, tak trudnoby to powtórzyć o kinie. Jest ono jedynie „rozrywką" — mniej lub więcej miłą czy ciekawą — ale nie wychodzącą poza zakres tego pojęcia.

Tego twierdzenia nie można powtórzyć w odniesieniu do radja, które — najdostępniejsze dzięki swej taniości — ma nietylko bawić, pomagać w przepędzaniu czasu i uprzyjemniać go, ale również uczyć i kształcić.

To ostatnie zadanie radjo ma bardzo ułatwione i równocześnie utrudnione; ułatwione, bo słuchając prelekcji radjowej człowiek odbiera wyłącznie wrażenia słuchowe. Wszystkie inne zmysły swą bezczynnością **pozwalają na lepsze skupienie uwagi**, a tem samem na szybsze zapamiętanie. A utrudnione — z tego samego powodu: uwaga zajęta jedynie słowami niewidzialnego mówcy, **jest tem czulsza i wrażliwsza na najdrobniejsze niedopatrzenia**, jak niedbała, lub błędna wymowa, zły akcent czy nieodpowiednie przesłankowanie.

Jest to tem bardziej przykre, jeśli podobne wady obserwuje się **w audycjach o ustalonej dobrej opinji**. Wtedy ogarnia nas zdziwienie: jak można dopuścić do mikrofonu ludzi nie przeszkolonych należycie? Jak można liczyć na nieuwagę czy przeoczenie, a raczej „przesłyszenie" słuchaczy, jeśli oni właśnie nic innego — poza uważnem słuchaniem — nie robią? Jak można wogóle zaprodukować podobnie nieprzygotowaną audycję?

Tych pare przykrych refleksyj nasunęło mi się po wysłuchaniu audycji dla dzieci pt. „W worku św. Mikołaja". Pomijając już sam zresztą drobny fakt (dzieci naogół mają krótką pamięć), że audycję tę już raz słyszeliśmy rok temu, — to jednak wtedy była ona znacznie lepiej i **sumienniej** opracowana i wyreżyserowana. Drobne, nieznaczne poprawki i zmiany wyszły jej tylko na szkodę. A wprost zdumiewał swobodą w traktowaniu swej roli artysta, mający odtwarzać postać św. Mikołaja. Posiadać miły, głęboki głos, to — to do występowania przed mikrofonem — zamało. Trzeba też jeszcze i ten zalety: **poprawne**, płynne władanie językiem polskim i staranne opracowanie i przygotowanie każdej roli.

Jeszcze jednem niemiłem wrażeniem był sposób zwracania się do św. Mikołaja. Słyszało się wciąż „stary Mikołaj", „wiesz, Mikołaju" lub „Mikołaj się ucieszy", tak jakby to chodziło o stangreta, czy **lokaja**. Ta poufałość raziła. Była nie na miejscu. A to tembardziej, że audycję tę przeznaczono dla dzieci. Wiadomo zaś, że młodzi słuchacze są czuli na wszelkie odchylenia od przyjętego zwyczaju.

Była tradycja i to tradycja bardzo piękna, że „dziecinne" audycje rozgłośni lwowskiej stały naprawdę na **wysokim poziomie** artystycznym i reżyserskim. Wszak doskonale jeszcze pamiętamy z przed niedawnego czasu urocze słuchowisko w/g **Makuszyńskiego**; ten **„Uśmiech Lwowa"** był istotnie uśmiechem naszego miasta, uśmiechem serc jego mieszkańców, uśmiechem pogodnym, serdecznym, szczerym. I to można stwierdzić **nie tylko** o tej jednej audycji. A czyż jest słuszniejsze powiedzenie niż **„noblesse oblige"?**

Gdyby podobny wypadek niedociągnięcia zdarzył się innej rozgłośni, przeszedłby on bez echa. Jednak Lwów nie może sobie na to pozwolić, na **choćby drobne usterki** w audycjach dla dzieci. I tylko życzliwość i dbałość o dobrą w tej dziedzinie opinję rozgłośni lwowskiej, dyktuje mi te — może trochę gorzkie — słowa.

r. R.

Radjo i prasa w U. S. A

Niejeden radjosłuchacz z niezadowoleniem odchodzi od głośnika, gdy speaker, podając w dzienniku wieczornym krótką wiadomość o ważnem zdarzeniu, dodaje: „o bliższych szczegółach dowiedzą się państwo z prasy porannej". Słuchacz jest niezadowolony, czasem nawet oburzony. Dlaczego radjo dało mu tylko suchą informację o zdarzeniu, które go tak zainteresowało?

Tak, lecz radjo nie jest dziennikiem. Daje słuchaczom muzykę, słuchowiska, zajmujące szkice literackie, ciekawe reportaże z życia, pogadanki dla kobiet, dzieci, rolników; poświęca też codziennie kilkanaście minut na informacje o ważniejszych wydarzeniach dnia. Ale tylko kilkanaście minut. Poza te ramy czasu nie wychodzi, bo przestałoby być tem, czem być powinno. Ogranicza się do komunikowania tysiącznym rzeszom słuchaczy najważniejszych wiadomości, a gdy speaker wyczuwa, że informacje należałoby oświetlić, skomentować obszerniej, odsyła słuchacza do prasy.

I jeszcze jedno. Radjo jest dla wszystkich. Nikomu nie narzuca takich, lub innych poglądów. W swych informacjach zaznajamia słuchacza z faktami, a wnioski niechaj wyciąga z nich słuchacz, lub niech mu w tem dopomoże dziennik, który nadejdzie do niego za kilka godzin.

Tak ułożyły się stosunki u nas i w większości krajów Europy. Między radjem, a prasą niema konkurencji. Zakres działania obu tych czynników jest tak odmienny, a jedyny, istniejący między niemi punkt styczny, t.j. podawanie wiadomości, w taki sposób ustalony, że przyczyn powstania nieporozumień niema.

Mógłby jednak ktoś wysunąć zarzut, że radjo wkracza w sferę, która przez długie lata była wyłączną domeną prasy, że mianowicie mikrofon służy też celom reklamy. W ostatnich czasach, w latach niebywałego rozwoju techniki, reklama znalazła drogę do kin, lśni szeregami lamp neonowych na dachach i fasadach kamienic, wypisuje z samolotów nazwy firm na tle nieba — weszła też i do radja. Ale nikt chyba nie wierzy, żeby kilka zdań, wypowiedzianych przed mikrofonem podczas „rozmaitości", czy „Koncertu reklamowego", przynieść mogło szkodę dziennikom; w których reklama zajmuje kilkaset wierszy na kolumnach ogłoszeniowych.

W europejskiem radjo odgrywa dział reklamowy małą rolę. Dochody swe czerpią nasze towarzystwa radjowe z abonamentu opłacanego przez słuchaczy. Podobna sytuacja jest i w prasie, której materjalną podstawę stanowi wpływ z prenumeraty i sprzedaży ulicznej.

Tak wygląda ta sprawa u nas. A jak stosunki te ułożyły się na drugiej półkuli, w Stanach Zjedn., które niedawno jeszcze odgrywały rolę mentora wobec Europy.

Gdy dolar spadł, a na ulicach N. Jorku i Chicago zjawiły się tysiące bezrobotnych, przekonaliśmy się, że nie wszystko w Ameryce tak pięknie wygląda, jak nam opowiadano, że nie wszystko, co amerykańskie, należy naśladować, i że Ameryka niejednego nauczyćby się mogła od Europy.

Dużo się mówi o potędze amerykańskiej reklamy. Dzięki reklamie powstały tam setki prywatnych towarzystw radjowych. Byt swój opierają one wyłącznie na reklamie. W amerykańskiem radjo nieznane są abonamenty, towarzystwa radjowe czerpią dochody wyłącznie i jedynie z sum, jakie wpływają od firm handlowych i przemysłowych za reklamę na falach eteru. Rzecz oczywista jednak, że na polu zjednywania sobie klienta dojść musiało do walki konkurencyjnej. W U. S. A. walka ta jest niezwykle ostra i to nietylko między kilkuset towarzystwami radiowemi, ale i między radjem z jednej, a prasą z drugiej strony, bo i prasa ciągnie tam z reklamy pokaźne zyski. Walkę prasy z radjem zaostrzył jeszcze wyścig między niemi w podawaniu najszybszej informacyj. Radjo, mając na oku jedynie zysk i wykorzystując w całej pełni techniczne swe możliwości, wzięło w tym wyścigu górę nad prasą. W odwet zato prasa wszczęła kampanję antyradjową. Niedawno zawarły wprawdzie obie strony zgodę, mocą której radjo czerpać może wiadomości prasowe jedynie z Biura Prasowego, które czuwać ma nad tem, by radjo w ich podawaniu nie wyprzedzało prasy — ale pożytek z tej ugody niewielki. Radjofonja amerykańska szuka innych dróg wyprzedzenia prasy. Podaje informacje w taki sposób, w jaki prasa z natury rzeczy podać ich nie może, mianowicie w formie reportaży i transmisyj, a nawet realizuje słuchowiska, których treścią jest jakieś aktualne wydarzenie dnia. Prasa U. S. A. znów bije na alarm:

By ukrócić te niezdrowe wybujałość wolnej konkurencji handlowej, sięgnęły Stany Zjedn. po wzór nie dokądinąd, jak do... Europy, na którą niedawno jeszcze patrzały z uśmiechem wyższości. Opracowywane są obecnie ustawy, które poddać mają tak prasę, jak i radjo kontroli państwa w myśl zasady, że oba te czynniki odgrywają ważną rolę społeczną, a więc działalność ich nie może być dla państwa obojętna. Projekty tych ustaw przedłożone być mają Kongresowi U. S. A. już w lutym przyszłego roku.

Piękno maszyn

Mówić o pięknie maszyn jest rzeczą dość ryzykowną, bo jest to kwestja indywidualnego gustu, a nasze pojęcia o pięknie ulegają częstej rewizji.

Piękno maszyn opiewają obecnie poeci — i nie mamy powodu przypuszczać, by te ich zachwyty nie były szczere.

Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że dzisiejsze dzieła techniki, przy całej swej celowości, nie pozbawione są pewnego, oryginalnego piękna. Zagadnienie to naświetla doskonale dr. Feliks Burdecki w wydanem świeżo dziele „Życie maszyn" (wyd. Książnica - Atlas).

Oto, co pisze na ten temat:

„Z olbrzymiej ilości oddzielnych, lecz sumiennie ze sobą połączonych części składa się przyszły mołoch pracy. Wszystkie śruby i śrubki, mutry, dźwignie, druty, tłoki i inne człony maszynowego organizmu spełniają swe ściśle określone role, odpowiadające ostatecznemu celowi. W tej właśnie celowości leży piękno maszyny. Inżynier odrzuca wszelką zbyteczną ozdobę, pragnie w dziele swem urzeczywistnić dostojną prostotę, stworzyć kształt, któryby zewnętrznym wyglądem odpowiadał wewnętrznej treści".

Ale grają tu role i inne, niemniej ważne względy, natury raczej emocjonalnej. Spoglądając na samolot, czy auto, czy aparat telefoniczny, — nie zastanawiamy się nad tem, czy posiadają one skończenie piękną i estetyczną formę, czy skonstruował je naprawdę jakiś artysta.

Podziwiamy przedewszystkiem ich wartości techniczne, wydatność pracy, ich znaczenie użytkowe. Martwa maszyna, dzieło trzeźwej wyrachowanej techniki, stała się dla nas czemś bliskiem, niemal żywem.

I w ślad za tem następuje pewnego rodzaju przewartościowanie pojęć: piękno widzimy nawet w rzeczach, nie stworzonych ze względów estetyki, lecz interesujących nas bezpośrednio z uwagi na ich znaczenie praktyczne utylitarne.

Tłómaczy się to do pewnego stopnia faktem, że dzisiejsza generacja nie może już sobie poprostu wyobrazić życia bez tych wszystkich olbrzymich ułatwień i udogodnień, jakie mamy maszynom i nowoczesnej technice do zawdzięczenia. Maszyna stała się nieodłączną częścią składową dzisiejszego życia. Jest niezbędna. — wiec wydaje nam się piękną — i piękna tego w niej szukamy.

Inna rzecz, że obecnie i sam wynalazca czy konstruktor stara się usilnie o to, by swej maszynie nadać możliwie estetyczny wygląd. Wystarczy porównać pierwsze modele samochodów z dzisiejszemi wspaniałemi maszynami, by uprzytomnić sobie olbrzymią drogę, jaką odbyli inżynierowie, wynalazcy i technicy.

Więc jeżeli mówi się dziś o pięknie maszyn, to stwierdzić trzeba, że konstruktorzy ich liczą się poważnie z wymaganiami estetyki, łącząc „przyjemne z pożytecznem".

Z punktu widzenia dotychczasowych pojęć o sztuce i pięknie można mieć pewne zastrzeżenia co do tej gruntownej ewolucji naszych zapatrywań, — ale musimy się z tem liczyć i pogodzić. Maszyna stała się naszym pomocnikiem i przyjacielem. A w przyjacielu szukamy zawsze piękna, przymykając nieraz pobłażliwie oczy na jego wady czy błędy...

(kr.)

MAURYCY RENARD

Niezwykła audycja

Zdarzyło się to w mojem mieszkaniu, w Paryżu, koło godz. dziesiątej wieczór. Siedzieliśmy po kolacji w moim gabinecie. Było nas czworo: Regis Maublanc ze swą żoną, siostra moja Suzy i ja.

Rozmawialiśmy spokojnie o rzeczach obojętnych, nie mających żadnego absolutnie związku z tem, co tu opowiadam.

Jak co wieczór o tej porze poszedłem do radjoodbiornika i począłem kręcić guziczkiem, szukając jakiejś stacji. Widząc to siostra moja ujęła dziennik, szukając w nim programów radjowych na wieczór.

Z aparatu płynęły jakieś zgrzyty, świsty, szmery... oh, jak to się zwykle dzieje, zanim się trafi na właściwą stację. Za poradą mej siostry próbowałem złapać Tuluzę.

W tej chwili Regis, siedzący w kącie kanapy, rzucił uwagę:

— Poco akurat Tuluzę? Nie lepiej zdać się na los szczęścia? Słyszycie... te dziwne jęki, płynące, niewiadomo skąd?... O, a teraz ten okrzyk bólu!... Słuchajcie tylko!... a to co? bębny biją?!...

Uśmiechnąłem się lekko, — ale nie chcąc robić mu przykrości, pozostawiłem odbiornik w spokoju. Ale już po chwili dałem siostrze wymowny znak ręką, by przerwała głośne odczytywanie programu stacji w Tuluzie.

Regis zerwał się z kanapy. Nieruchomo słuchaliśmy z natężoną uwagą jakiegoś głuchego, regularnego bebnienia, płynącego z głośnika.

— Ależ to bębny biją! — zauważył Regis.

— Oszalałeś! — rzuciła uwagę jego żona.

— Proszę was, cicho! słuchajmy, — przerwałem tę dyskutę, mocno zaintrygowany. — Doprawdy sam nic nie rozumiem... Odbiornik nie nastawiony na żadną znaną mi stację...

Fkatycznie z głośnika dolatywało regularne, głuche bicie bębnów. Ale po za niem słychać było jakiś — rosnący z każdą chwilą — gwar zmieszanych licznych głosów. Bębny ucichły, natomiast ponad potężny gwar wyrywały się poszczególne mocne okrzyki:

— Śmierć tyranom! — Niech żyje naród! Wolność lub śmierć!

Cienkim falsetem począł ktoś śpiewać: "Ca ira, ça ira!"... I nagle począł się sypać cały potok najstraszniejszych wyzwisk i przekleństw, rzucanych wśród nieopisanego hałasu.

— Co to znaczy? — pomyślałem zdumiony. — Czyżby mnie słuch mylił czy fantazja ponosiła?

— I oto w tej chwili z głośnika padają krótkie, ostre słowa komendy. Nie mogliśmy ich dobrze zrozumieć, bo przytłumiał je nieopisany hałas. I znów bicie bębnów, gorączkowe, nieprzerwane, z poza którego słychać przez chwilę jakiś inny odgłos: jakgdyby jakiś wóz toczył się ciężko po bruku...

Chwila względnego spokoju, — poczem z głośnika pada straszny krzyk, drżący nienawiścią, krzyk całego olbrzymiego tłumu:

— Kanet! Kapet! Na śmierć go!

Regis spogląda na mnie zdumiony. Obie kobiety podchodzą do głośnika zaintrygowane.

Bicie bębnów ustaje. Słychać czyjś krzyk, trwożny, przesiąknięty rozpaczą i bólem:

— Obywatele!... przysięgam... nigdy... szczęście narodu!...

Przerywa mu inny, energiczny głos:

— Bić w bębny! Prędzej, do djabła! I znowu przeciągły grzmot bębnów, a potem słychać nagle jakieś ciężkie, głuche uderzenie... I cisza... Cisza tak przejmująca, że — przysiągłbym — słyszeliśmy ją wszyscy wyraźnie!

Regis w milczeniu wskazuje ręką na wiszący na ścianie kalendarz: **data 21 stycznia...**

Z odbiornika płyną teraz jakieś nieskoordynowane szmery i trzaski... Wyłączam go.

— Trochę to było makabryczne, — mówi pani Maublanc, — ale świetnie zrobione. To Tuluza nadawała?

— Nie, — odpowiadam, — nie była to Tuluza. To była audycja **znikąd**... A raczej, to **działo się** w Paryżu, kiedyś, dawno temu... Przejrzyjcie program: żadna stacja nie zapowiadała podobnego słuchowiska!

— No, chyba nie przypuszczasz..., — zaczęła Suzy.

— Dziś wszystko jest możliwe, — przerwał jej Regis. — Cóż my wiemy właściwie o tem, co się dzieje w eterze?

— Musimy się dowiedzieć! Czekajcie, — powiadam, — nad nami mieszka znany historyk Mariel. Znamy się trochę. On ma również radjoodbiornik, a nasze anteny dachowe sąsiadują ze sobą. Może i on słyszał tę niezwykłą audycję?

Spróbuję zatelefonować do niego...

I oto, co mi odpowiedział Mariel, kiedy go zapytałem, czy przypadkiem nie słuchał radja o tej samej godzinie co my:

— Owszem, panie sąsiedzie. Właśnie przed chwilą odłożyłem słuchawki. Bo jakoś nie jestem dziś odpowiednio nastrojony. Wie pan, że z przekonań jestem rojalistą. A dziś właśnie jest rocznica stracenia króla Ludwika XVI. I jakoś mimowoli, słuchając jakiegoś koncertu, przechodziłem w myśli ze wszystkiemi szczegółami owe straszne sceny, jakie rozgrywały się dnia 21 stycznia 1793. Ostatecznie odłożyłem słuchawki... nie mogąc znieść dłużej tej nieznośnej muzyki koncertowej.

Podziękowałem mu krótko i zawiesiłem słuchawkę telefoniczną.

— No i co? — zagadnęła mnie Suzy.

Nie mogłem odpowiedzieć odrazu. Usiadłem na fotelu z głową ukrytą w dłoniach. Tysiące pytań cisnęło mi się do głowy:

— Jak to wytłumaczyć?... Te dwie anteny, umieszczone w bliskiem sąsiedztwie... może stykają się nawet ze sobą?... Czyżby zatem... czy to możliwe?... podobna transmisja... **transmisja słuchowa myśli?**... Bo jakże to można inaczej sobie wytłumaczyć?

— No i co? — zarzucono mnie ponownie pytaniami.

Opowiedziałem im wszystko.

— I tylko tyle? — zauważyła Suzy z nieukrywanem rozczarowaniem.

Tak oto przedstawia się cała ta historja w swej tajemniczej prostocie.

Spolszczył Nałęcz.

ŚWIAT KOBIECY

Więcej dbałości o ubranie!

Napływające do nas listy na temat powyższy dowodzą, że poruszyliśmy kwestję naprawdę aktualną, interesującą szerokie sfery.

Dzisiaj zamieszczamy list otrzymany od jednej z czytelniczek z Krakowa. Drukujemy go w całości, bez żadnych zmian w myśl zasady „audiatur et altera pars" — zastrzegając sobie odpowiedź.

REDAKCJA.

W dodatku literacko - naukowym Nr. 49 w dziale **„świat kobiecy"** umieściła jedna z czytelniczek artykuł w rodzaju ankiety, pt. **Więcej dbałości o ubranie!** Ponieważ napływa podobno na ten temat szereg listów do Redakcji dziennika i to jak wnoszę z Nr. 50 solidaryzujących się ze zdaniem Pani „Niny", pragnę podać od siebie parę uwag wraz z prośbą, aby Szanowne Czytelniczki zechciały zastanowić się nad niemi zupełnie bezstronnie.

Według mnie, uwagi co do dbałości o ubranie stosownie do godziny, unikanie sportowych ubrań w teatrze itp. byłyby na ogół zupełnie słuszne, ale... przed dwudziestukilku laty!

Czy zastanawiała się Pani pisząc tę ankietę, nad grozą dzisiejszych warunków życiowych, nad dolą naszej inteligencji? W ciężkiej walce o chleb powszedni. Kiedy trzeba zrezygnować z każdej kosztowniejszej rozrywki, bilet do teatru jest dla „biedaka inteligenta" często jedyną wielce radosną przyjemnością, na którą może i długo czekał... A jeżeli ten człowiek poza sportowem ubraniem i grubemi butami nie ma innego stroju? Jeżeli ze względów praktycznych i oszczędnościowych ma tylko koszule kolorowe z miękim kołnierzem to co wtedy? Wobec zdania Pani nie powinien chodzić do teatru! Znam panie, które należały do zamożnej elity towarzyskiej, miały liczne, piękne stroje itd. dziś jednak chociaż zawsze estetycznie ubrane, mają jedną sportową sukienkę i kostjum z bluzeczką skromną, to cała parada! Jakto, więc pracując ciężko na często jałowy chleb codzienny i zdobywszy (o radości!) bilet do teatru mają sobie powiedzieć: „nie pójdę bo nie mam stosownej toalety". — Przypuszczam, że Panie rozpisujące się na temat „nieprzyzwoicie" wyglądającego pana w teatrze w kolorowej koszuli, lub sportowem ubraniu, należą do tych szczęśliwców, którzy nawet w dzisiejszych strasznych warunkach bytu są spokojni o jutro!

Nie badźmy krótkowidzami! Niech Panie przyjrzą się uważnie udręce bliźnich, a jestem pewna, że powiecie wspólnie ze mną: „biedni ludziska! trzeba im ułatwiać życie a nie utrudniać!" Ponieważ może, która z Pań powiedzieć: „Kto nie ma odpowiedniego ubrania do teatru to trudno, ale są inni co mają i powinni na to uważać". Tak też wspomina Pani „Irka" o znanym profesorze uniwersytetu, który siedział w fotelach w „liliowym kołnierzyku i takiej kolorowej koszuli. Pani się oburza i nazywa to brakiem poczucia estetyki, a ja znów sądzę, że to myślący, rozumny człowiek. Ja sądzę, że właśnie ta nasza elita umysłowa i ogół inteligencji powinien obecnie zerwać te ciężkie i krępując nas więzy form co do ubrania, ażeby nie czynić przykrości, nie upokarzać tych, których gnębi bieda, a którzy są również ludźmi o wyższym poziomie umysłowym. Przecież ci ludzie maja prawo bodaj do małej rozrywki! Badźmy społeczeństwem które ma wyższe cele na oku, nie krytykujmy barwy bielizny czy sportowego ubrania, myślmy o duchu, pomagajmy sobie!

Jeżeli chodzi Pani „Irce" o poczucie estetyki, to pozwolę sobie zapytać Panią: co więcej razi, czy kolorowa w spokojnym tonie koszula męska czy... tak rażąco karminowane usta u pań, golone brwi, czerwone aż w fiolet przechodzące często paznokcie itp.

O jak mało poczucia estetyki prawdziwej mają takie panie, chociaż są... modne!

A więc nie bądźmy powierzchowne, bo życie to nie zabawka, a kobieta-Polska ma wielkie zadanie, nie powinna być lalką!

Maryla K.

—X—

Ploteczki o modzie

— Małe pelerynki futrzane „capes" cieszą się w tym sezonie wyjątkowem powodzeniem. Nosi się je nawet przy płaszczach, a wyglądają one ślicznie, narzucone na suknię wizytową lub wieczorową.

— Elegancka kobieta powinna posiadać w swej garderobie conajmniej dwa kapelusze: jeden filcowy o wysokiej, śpiczastej główce, oraz futrzany toczek.

— Strojne suknie wieczorowe odznaczają się elegancką a skromną prostotą kroju. Największy nacisk kładzie się na materjał, który musi być w pierwszorzędnym gatunku. Wybór tu jest wielki: tafta, moiré, lama, aksamit, zwłaszcza tak modny obecnie „infroissable".

Śliczne efekty dają też materjały, przetykane dyskretnie srebrnemi lub złotemi nitkami.

Kasaki i tuniki ciągle jeszcze święcą triumfy.

— We fasonach sukien wieczorowych wielka rozmaitość. A więc suknie, przylegające szczelnie, t. zw. „fourreau"; — uwydatniające dokładnie linje ciała kobiecego. Obok tego spódnice u dołu znacznie rozszerzone, przypominające czasy Ludwika XIV.

— Z nowych kolorów, stosowanych do sukien wieczorowych, wymienić należy: złoto - żółty, różowy, błękitny i „aubergine" w zupełnie nowych, delikatnych odcieniach. Jak zawsze jednak króluje czarne w kombinacji z białem.

— Perły, prawdziwe czy imitacje, stały się najmodniejszym klejnotem w tym sezonie. Zasługa to po części księżniczki Mariny, która ma do pereł specjalne upodobanie. Stworzyła ona nową modę, ukazując się w ciemnej sukni, z trzema luźno zwisającemi sznurami pereł na szyi.

— Powraca znów moda greckich sandałów na sali tanecznej. Przymocowuje się je zapomocą jedwabnych pasków, zapiętych klipsem.

— Torebki miniaturowe ustępują obecnie miejsca znacznie większym prostokątnym torebkom, zdolnym pomieścić wszystkie potrzebne drobiazgi, aż do papierośnicy włącznie. Na dzień — torebki ze skóry kameleona lub krokodyla, na wieczór torebki jedwabne lub z miękkiej skórki antylopy.

— Do przyozdobiena fryzury służą prześliczne diademy, oraz pojedyncze drogie kamienie, które zapomocą klipsów wpina się we włosy. Moda to nieco ekscentryczna, przypominająca daleki wschód i indyjskie księżniczki.

Nowe fryzury

Stanowczo moda angielska zaczyna się emancypować spod dotychczasowej dyktatury Paryża. — Na innem miejscu piszemy o kapelusikach, wzorowanych na kapeluszu tak popularnej dziś w całej Anglji ks. Mariny.

Obecnie przychodzi kolej i na fryzure również „a la Marina".

Dwudziestu pieciu mistrzów kunsztu fryzjerskiego, zebrało się w tym celu w Londynie. Przedewszystkiem szło o wynalezienie pięknej młodej niewiasty koniecznie szatynki, — (jako, że ks. Marina jest szatynką) godnej dostąpienia „zaszczytu" ozdobienia swej główki nową fryzurą.

Wśród setek kandydatek wybór padł na pannę M. Franklin, czarującą 20 sto letnią szatynkę, którą obdarzono tytułem „królowej salonu piękności za rok 1934"



Ona też pierwsza pokazała się publicznie z nową fryzurą nazwaną „a la Marina", za zgodą młodej ks. Mariny.

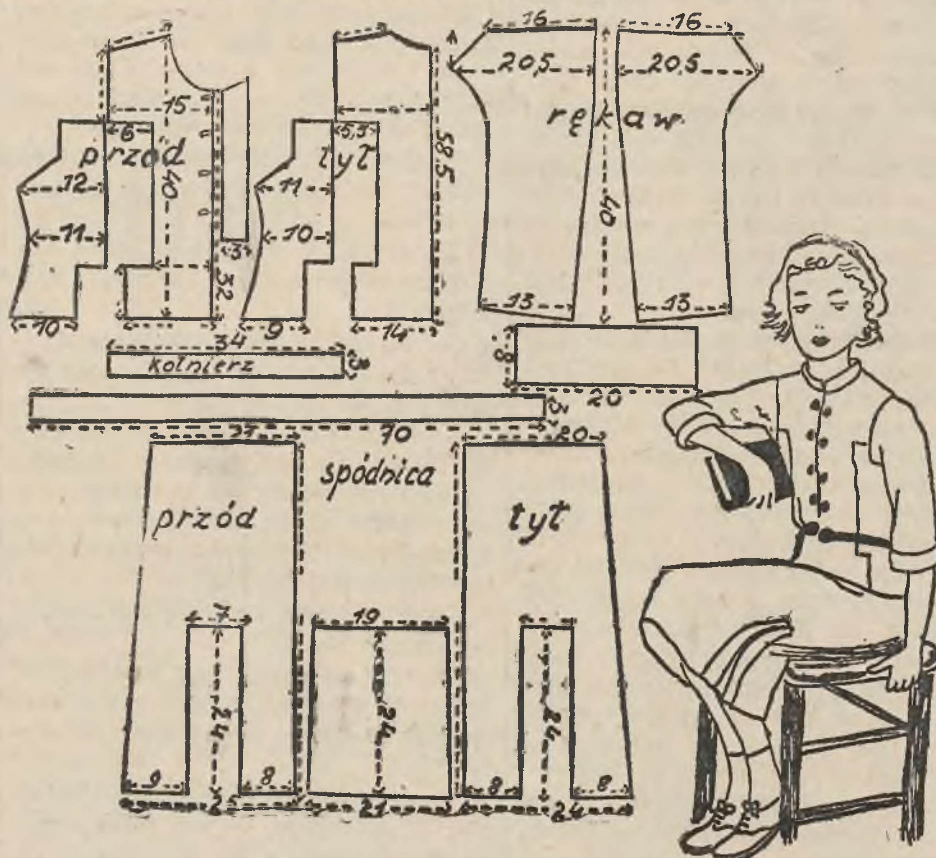
Fryzura ta ma dwie charakterystyczne cechy. Jedna: to dwa rozdziały, po jednym z każdej strony głowy, pod dowolnym kątem. Druga zaś to loczki, skręcone w spiralę, dzięki czemu zachowują one dłużej i lepiej swój właściwy kształt.

Spirale te nadają się szczególnie do modnych obecnie kapeluszy z wysoką spiczastą główką. A jeżeli nawet pod kapeluszem ulegną pewnemu przygnieceniu — to po zdjęciu tegoż szybko się rozprostowują i wracają do pierwotnej formy.

Zrobienie podobnej fryzury nie wymaga ani więcej czasu, ani więcej pracy, niż każdej innej, — a przyznać trzeba, że pomysł owych „spirali" jest naprawdę praktyczny.

Nowa ta fryzura przyjęła się w Anglii bardzo szybko niewątpliwie też znajdzie i u nas naśladowców.

I nawet nie trzeba na to być koniecznie szatynką....



Podajemy powyżej krój wełnianej sukienki dla dziewczynki, na co potrzeba 1 mtr. materiału (czarny lub ciemno niebieski) oraz pół metra materjału szkockiego.

—0—

Z WYDAWNICTW

„Bluszcz" nr. 49 przynosi między innemi artykuł wstępny „O dobre życie", poruszający szereg aktualnych zagadnień społecznych i kulturalnych, interesujący reportaż z „Godów książęcych" w Londynie dalszy ciąg pięknej noweli Rychlińskiego „Ave Maria", oraz impresje z „Pielgrzymki po Nałęczowie".

Obok tego zwykłe rubryki, przegląd polityczny, korespondencję z Poznania, „Ogrodnictwo i hodowla" i „Dom i gospodarstwo". Materjał ilustracyjny obfity i aktualny.

—o—

„Pani Domu", nr. 12. grudniowy zawiera: artykuł „Kolendy" pióra dr. A. Simonówny, „Kącik pani domu" modele sukien i uwagi na temat praktycznej mody („W co, kiedy i jak się ubierzemy?")

Miłośniczki kwiatów znajdą interesujące wskazówki co do hodowli palm i kaktusów, gosposie dowiedzą się dużo ciekawych rzeczy o maku, miodzie i kiszonej kapuście, oraz szereg doskonałych przepisów kucharskich.